



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA "PRAWDY"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranic: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Ziemia Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, w godzinach od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Reklamy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.

Sprzedż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TRZESĆ. *Polityka*: Samopomoc. — Z Austrii p. S. — Tydzień polityczny. — *Powiat*: Woly. — *Sprawy ekonomiczne*: Z Francji p. P. — *Badania naukowe*: Historia. Puławy II. p. B. — *Literatura i sztuka*: Wybitniejsze prądy w nowoczesnej literaturze francuskiej II. p. F. Rawit. — *Zmienione czasy*: Zygmunt Kaczkowski. Abraham Kłaj p. W. — *Egipcy*: Libanum veto p. Posła Prawdy. — Na widok kręgu p. Nieborskiego — British Museum p. W. L. Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcji. — Ogłoszenia.

Nakładem naszym wysła w osobnej książce i jest do nabycia w Administracji *Prawdy*, oraz we wszystkich księgarniach

LOGIKA Liarda.

Cena w oprawie rs. 1.

POLITYKA.

SAMOPOMOC.

„Śmieszna, jeżeli nie wprost ze złej wia-ry wypływająca jest pretensja, aby owo kresowe Poznańskie było w stanie obronić się *samo* nawale tutejskiej, aby do skuteczności tej obrony wystarczyły ze strony reszty kraju tromtadryczne (?) frazoso, płaceliwi sentymentalizmy, gadaniny na bieradność i zgermanizowanie poznańskiego ducha przy najdoskonalszem lenistwie własnem. Tutaj trzeba zamiast gderania i frazesów, zamiast beśpłodnych ostracyzmów i oskarżeń, rozbudzenie ducha solidarności — i oto jest pole, na któreśmy prasa po za obrębem Prus sprawiła, o której tak kosztawo dotąd mówi, prawdziwo usługi oddać mogła.” Tak *Dziennik poznański* karci pisma polskie, głoszące w przedmowie nowej roboty germanizacyjnej. Jak zaba z bajki wola od nas: „dla was to jest ignoraska, a nam idzie o życie,” zamiast reućać kamieniami, porządnie bez sztyderów, czem mamy się ocalić w tym naszym stawie, z którego nam wodę spuszczone. *Gazeta polska* przeklęła ten patryotyczny balonik i wypuściła z niego gaz oburzenia; zasługując on jednak i z naszej strony na bliższą uwagę. Widzimy w nim dwa męty: naganę dla prasy pol-

skiej za lekkomyślne uragowisko poznańskiemu nieszczyściu i żądanie, aby dwie siostry wynalazły sposób ratunku trzeciej. Być może, iż gdzieś tam w łamach prasy padło jakieś nieogledne słowo; żeby ona wszakże na braterskie rany przyłożyła plaster s „gderactwa, placeliwych komunalów, tromtadrycznych (?) wykrykni-ków, beśpodstawnych oskarżeń i śmiesz-nych pretensyj” — to jest przesada, którą tylko naturalnym napadem nerwowym wytłumaczyć można. To prawda, że kłeska nieco oprzytomiała nas, że zdobyliśmy się na kilka cięć krytycznych; ale jeśli kto mniema, że z zamkniętymi oczami uniknie wilego dołu, niewątpliwie weń wpadnie. Właśnie główna omyłka naszej polityki ratunkowej było zawsze ludzenie się. Względem nieprzyjaciela zewnętrznego stoimy zawsze pod bronią, ale wewnętrz-nemu, który w nas samych tkwi, pozwla-amy wprowadzać się we wszystkie zasa-dki. Każdy alarm, każdy strzał w tę stronę uważamy za samobójstwo i morder-stwo, a gdy zły duch nas opęta, nie chcemy go żadnem zaklęciem wypędzić, *Dzien-nik poznański* nie złożył objawu lekkomyśl-ności, ale zbladził głęboko zaszczerpioną w naszym charakterze odrągę do kryty-cyzmu.

Wskazacie drogę obrony — mówi on — a my nią chętnie pójdziemy. Aluż wy ob-myślicie plan — odpiara *Gazeta polska* — a my wam w wykonaniu go pomokemy. Odpowiedź słusna. Bo któż powinien kie-rować pracą ratunkową: czy ci, co są na miejscu i znają warunki działalności praktycznej, czy też ci, którzy ich nie znają i najlepszą wolą chybić mogą? Chociażby nas *Dziennik* opatrzył wielką plombą „tromtadryczny,” przeczuwamy, że cały ten roz-mach skoczył się na odrzuceniu sobie wzajemnie piłki patryotycznej przez granicę. Piosnierze kłeski zawieszają swoje harfy na wierzbach, usiadą nad brzegami Wisły,

popłaczą i rozproszą się po świecie. Od czasu jak Poznańskie uznano, że „*samo* nawale tutejskiej obronić się nie może” — zapadł w ryok nad ich dola. Gdyby nawet w innych dzielnicach polskich znalazła się gromadka ludzi gotowych do narodowo-ekonomicznej oświecy, gdyby powstała spółka, usiłująca wykupywać majątki, na których germanizacja położyła swe łapy, nie można ludzi się ani rozmiarem tego przedsięwzięcia, ani jego trwałością, ani nadzieją powodzenia. Kilkaście tysięcy — wistymy różowe okulary — milion rubli nie wystarczy, energia powoli osłabnie, a wobec zakazu, odmawiającego w Prusach praw obywatelskich polakom obcego poddaństwa, cofnięcie się kapitał, odcięty od swego posiadacza i nie pójdzie ani jako bezin-teresowna ofiara, ani jako niepewna pożyczka. Przypuśćmy, że znaleźliśmy gdzieś Krezusa, któremu skargi poznańskie serce i kieszeń otworzyły: w jakąś postać przy-bierze swą pomoc, skoro nie wnoś mu będzie na trzy dni pojednać do Prus, choćby nawet w ich obrębie zakupił wszystkie ziemie polskie? Pozostaje ufnosć. Wy-szczerbiła się ona znacznie dowodami leni-stwa i nieopatrności, a wreszcie sromo-tom podawania ziemi ojczystej pod kie-szeń niemiecką. Cała woda Warty nie zmyje ani faktu, ani hańby z tych panów poznańskich, którzy oświadczyli gotowość sprzedania swych majątków komieji kolo-nizacyjnej. O taki fakt rozdziere się naj-cieńszy sentymentalizm rodzinny narodo-wej, pragnącej pomódz nieszczęśliwemu jej odławowi.

Niemcy miadzą Poznańskie walcom germanizacyjnym, łanią mu członki, roz-ciągają je na torturach; ale polacy tamtejsi nie okazują należytej żywotaści, energii i oporu. Stamtąd nachodzą do nas tylko Hiobowe wieści, odchody konania i mar-twoty. Z wyjątkiem ludu, w którego twardą naturę zalew niemiecki jeszcze naj-

Z AUSTRII.

Wiedeń, 23 września.

Nieco o austriackiej polityce wewnętrznej i zewnętrzej. — Nedra ugodowa. — Jak się przedstawia chwilowo stosunki parlamentarne.

trudniej wsiąka, nie ma tam ani jednego żywiol, ani jednej warstwy, któraby służyła za podstawę dążeniom obronnym. Zdawało się, że taką oporę stanowił Kościół. Dziś i ta skała kruszeje się zaczyna, pogłębiając i rozszerzając nurt germaniki. Nie zo źródeł o bezstronności podejrzanych, ale z przychylnych klerowi płyną zupełnie pod tym względem rozważania. Korespondent *Casu*, donosząc o zwiedzeniu szkół przez komisarzy rognejnych pod czas wykładu religii, pisze: „Nie tajno tu nikomu, że sądowni chodzi o to, aby Kościół legalizował swoją powagę, niemiecki wykład religii; stąd oburzenie między nami wielkie, iż ks. biskup Redner pozwolił się użyć do tego jako narzędzie.“ Według korespondenta, zamiary rządu pruskiego sięgają jeszcze dalej, mianowicie pragnie on wykazać, że „dzieci polskie znają już język niemiecki o tyle, iżby i w kościele naukę przygotowywać do pierwszego komunii w tymże języku pobierać mogły.“

Tak swemi skrzydlami ostanta przedśladowanych owa „jedyna arka“, która ich przez „wszystkie burze“ przeprowadzić miała.

Czy poznaliśmy nie zbyt wyłącznie na niej oparli swoje marzenia, swoją politykę? Zarzucaliśmy im to kilkakrotnie. Dziś gdy Leon XXI obdarzył ich Dinderem, a Dinder wszystkimi dobrodziejstwami kosmopolityzmu ultramontańskiego, w którego młynie narodowe się miele na płacki papieskie, złudzenia pierwszoką powinny. A ponieważ Stolica Apostolska wydaje poznać możemy tylko kwitki z odebranych ofiar, bez żadnych zobowiązań, ponieważ naokoło wieje obłęd samolubstwa, ponieważ najsęderocześniejsze pragnienia w rodzinie narodowej udaromienia rzeczywistość, więc ta krajina niedoli powinna przedewszystkiem odźwignąć się i bronić samopomocą. Niestety, na to ona się dotąd nie zdobyła, tylko legła na łożu boleści, wstawiając do narady lekarskiej przyjaciół i krowników, którzy sami ledwie żyją.

POWIEŚĆ.

WOŁY.

Najcenniejszym przymiotem natury jest jej rozmaitość. Nie ma podobno jednakich dwu kropki wody, dwu liści na drzewie. Wyobraźnia, pomyślowość przyrody nie tylko zdumiewa, ale stanowi źródło wielu naszych zadołowań. Bo czemuże byłoby życie śród widoków tożsamości? Czytaliśmy książki, sklejonej z komunałów. Od czasu istnienia świata słońce odcień inaczej wschodzi i zachodzi, bo natura może wytwarzać nieskończoną ilość kombinacji. Malarsze mają zapewnione tematy i nie potrzebują się powtarzać.

Polak amutny zawsze filozofuje, więc i ja prządzęłem tui z tego kłencza awag, a choć je woźnica przeczał pytaniami: która godzina? — rozmyślałm dalej:

Ręczę, że to i dwa byzki, mocujące się rogami na pańsku, są odmiennie od wszystkich poprzednich, współczesnych i przyszłych, a nawet figlują oryginalnie. Przeważają zabawę, spóstrzegają przejeżdżającą bryzkę, funkcjonują nozdrzami, zwróciły użyzku ku przodowi i przylgwały się aum bun-

Pomiędzy austriacką polityką wewnętrzną a zewnętrzną nastąpiła chwilowo równowaga, przynajmniej o tyle, że tu i tam chaotyczna mgła zalega w równym stopniu widownię, mgła, wśród której ani wzrok hr. Taaffe'go, ani tem mniej hr. Kalnokygo nie zdoła soryentować się dostatecznie.

Gdyby przynajmniej Kalnoky dorósł Taaffe'emu! Ale gdzie tam. Taaffe jest przynajmniej panem położenia, jeżeli potrzebuje jako prawdziwy dworak wyrażać dyktando uczucia wobec przetrzonych ludów austriackich. Umie on zawsze tak sterować powierzoną sobie nawą, że ta przybija zwykle do przystani interesów domu cesarskiego, naturalnie, o ile na to pozwalają dane okoliczności.

Hr. Kalnoky i takim nie może się poszczycić skutkiem, ponieważ stanowczo nie umie tak sterować nawą, żeby ona mogła zwinąć do przystani interesów dynastycznych, które pod względem polityki zagranicznej mogą być równoważone z interesami monarchii. Austriacki minister spraw zagranicznych nie posiada nawet zdolności swoich poprzedników, jeżeli o zdolności może być mowa wogóle. Hr. Andras był przynajmniej zręcznym *fajosem*, hr. Haymerle biegłym urzędnikiem, który z dyplomatycznej spieszności nie nie uronił, hr. Kalnoky jest generałem kawalerii, który nawet nie umie rąbać krzyżów sztuka. Na polu też austriackiej polityki zagranicznej nie widac nie, tylko niepełną obwieśność i brak wszelkiej energii. Przyjaźń z Niemcami, która swojego czasu na diarskim i ognistym paradowała rumaku, wlecze się dziś na kulawej akcipki i jest raczej ciężarem wolnego działania Austrii, aniżeli ręką jej wielkopanstwowego stanowiska. Nie byliśmy nigdy zwolennikami austro-niemieckiego sojuszu, nawet w chwili powszechnego oszołomienia, kiedy rolę karykatyd tego przyzmyrza odgrywały z rzadkiem szparciem się sobie ludy słowiańskie. Nasi

polscy politycy korzyli się w prochu przed największym niebezpieczeństwem własnego narodu, więcej może z bezmyślną uległości dla rządu austriackiego, niż bojaźni, mającej gdzieś swoją przyczynę. Teraz zaczyna dosadnie występować wartość przyjaźni niemieckiej dla Austrii. Żelazny kanclerz z cynizmem lekceważeniem rzuca jej dobrem jak zabawką, pomimo wszelkiej serdeczności przy zjazdach w Kissingenie i Gasteinie. Gra ta na opak uderza nawet baranie głowy austriackiej dyplomacji, która stoi bezradnie wobec wikłających się spraw półwyspu Bałkańskiego, spoglądając błagalnym wzrokiem raz ku piaskom nadspokojnym, to znowu ku Albionowi, który jednakowoż nie chce swoją kupiecką ręką wyciągnąć austriackich kaszanów z ognia bułgarskiego. Na porządku dziennym stało pytanie: co to będzie? Zaniepokojona opinia publiczna nie umie dać odpowiedzi, tylko spadek austriackiej reuty stanowi na nasie ponure tło krajobrazu chwili obecnej.

Co z tego będzie? Pezmyśmiśmniemaj, że woja; austriacy półurzędowi trabanci pocieszają się myślą ostatecznego przyłączenia Bośni i Hercegowiny, sądząc, że przecież Austrii musi być przy wspaniałomyślności niemieckiej odškodowana za to, co niepowetowane straciła w Bułgarii. Tymczasem trysnął na tych optymistów promień zimnej wody z prasy rosyjskiej, wśród którego oderwał się głos, dziennikom wiedeńskim telegraficznie przesłany, że Austrii tylko za odstąpienie Galicji i Bukowiny na korzyść Rosji może otrzymać Bośnię i Hercegowinę. Miałby „uczciwy makler niemiecki“ istotnie doradzać podobną zamianę?

Wolimy wrócić do spraw wewnętrznych, bo te przecież, lubo także niepoopieczny przedstawiają widok, dadzą ujęcie się konkretnie. I tu chaos, ale trochę więcej przejrzysty. Tu można przynajmniej odnieść powien kierunek i odgadnąć zamiary rządu. To nie ma podobu *tabula rasa*, jak ta, która zalegała dziedzinę polityki zagranicznej. Hr. Taaffe przynajmniej o tyle zasługuje więcej na uszanowanie, że program swój „stawia po nad stroniciwami“ i przeprowadza go dość konsekwentnie. Rzecz można, że stoi on jedną nogą na prawicy, a drugą na lewicy, przynajmniej obie partje ciężarem swoich niefortunnnych rządów. Rysunek taki, zdaje nam się, najlo-

cym stok znacznej wyszyny. Przed nami para rosłych i dobrze utrzymanych wołów ciągnęła na wozie sosnę. Dwaj chłopcy, podporządkowani ramionami kłonic, pomagali wyprężonemu zwierzętom, zachęcając je do wysiłków.

— Ho, ho, dalej małe, uuuu!

Ale woły, szarpnawszy kilkakrotnie, stanęły. Starszy wieśniak zbliżył się do nich, pogłaskał po głowach i grzebniast, mówiąc:

— Odpocznijcie sobie. Peia góra!

Woźnica mój, chce rozszarzyć sobie przejazd, zawołał:

— Na prawo!

A to wół jarzmo i ściągnął na prawo — ofuknął go młodziey. Patrzcie go, jaki chwast z morskiej piany!

Miał słusność, bronią zmęczonych bydła, ale mój furman odparł:

— Muszą być *frajczy* — delikatnie.

Odplacono mu za tę uwagę radą, której powtórzyć nie mogę.

Wydołaliśmy się wreszcie na sosnę. Wołki się po obu jej stronach ciężko bryki i wozu w kierunku miasta. Pod stałą kolei uwieśliśmy między nimi a zwłazszą jednąfurą tarcie, ciągnięta przez woły, zagroziła nam drogę. Śród ważnymy wymalów utworawno wreszcie przesady, którym mieliśmy przemknąć. Podrażniony wszakże mój Łukasz zaczął bitem w prze-

cznieniu, jak dwój młodzi zwłazczyerz pod dróznikiem. Z lasku wyszedł chłopiec wojewski, który mijając je, krzyknął i śmignął prętem. Byzki odskończyły nieco, ale znowu stanęły odważnie.

— A nie pójdziesz ty od nich, kanale! — zawołał na chłopca orzący nieopodal parobek. Sybirak szelma — przeszkadza ją mu!

Poczołwy człowiek — rzekłem do siebie — strzeże wołki jak dzieci i nie pozwala ich nawet ploszyć.

Bryzka nasza, wybrnawszy z piasku, poczołżyła się raźniej wzdłuż nów szętych, zalanych złościami wółkami sierpienowego słońca, które coraz mocniej dopiekało. Spotykaliśmy ludzi, pracujących w polu, bydło, wyszukujące trawę ze rzytka, psy, myszujące po niekoszonych jarzynach, niemowlęta zawieszane w płachtach — a ja ciągle, mimo skwaru i kurzu, rozważałem przekonanie, że cały ów krajozbyt w tej postaci ułożyła natura po raz pierwszy.

Przy drodze stał wół drabiniasty, nalaowany zbożem. Woźniak, zanim ruszył, wyrwał z dużego, prawdopodobnie dworskiego lann wiązki grochu i karmił nim woły, które jadły z powagą niemców, posilających się przed ciężką robotą.

Trójkowy gospodarz, kradnie a żywi swoich pomocników!

Pyl znowu otoczył nas obłokiem, która zagłężyła w piasku, długą smugą zalegającą

piej uwidoczniły „nieparlamentaryzm“ gabinetu, co ma stanowić jego najgłośniejszą zaletę. Pomimo wszelkich waśni i kłótni narodowościowych najwięcej dokucza olowiane ciążenie obecnego ministerstwa w kierunku ekonomicznym, co obecnie przy rokowaniach ugodowych z Węgrami występuje na jaw rażąco.

Cło od nafty a właściwie oszukańczo przemycanego kaukaskiego oleju skalnego, co węgram wychodzi na pożytek, stanowi os, około której wiruje cała sprawa ugodowa. Niemcy ujęli się pod tym względem za krzywdę galicyjską, a rodak-minister miał serce zatwardziałe, dopóki wulkan opozycji w Kole polskim nie zaczął buchać lawą a kłęby dymu nie zaciemniły widnokręgu. Góra urosła miysz — mianowicie wniosek p. Grocholskiego, ustanawiający cło od przywożonej z zagranicy surowej nafty na dwa guldenty, których oburącz chwycił się p. Dunajewski, ażeby położyć, jeżeli już tak być musi, nadwyręzony galicyjski przemysł naftowy i ratować, co najgłośniejsze, położenie polityczne, wykolejone na straszliwy sposób przez wniosek Successa, mogący jedynie za pobiedzić całej tej nędzy ekonomicznej. Teraz chroma sprawa na wniosek Grocholskiego, na którym p. Dunajewski, nie mogąc inaczej, obstaje wobec węgrów; ci jednak o podwyższeniu cła od surowca nie elyzają nie chcą.

Czemu p. Dunajewski tak się śpieszył z podkopaniem galicyjskiego nafiasterstwa i upraniem oszustwa przemysłowego — trudno zaiste zrozumieć. Węgry trzymają go teraz za słowo, a wszelki jego opór, po niewczasie, nie waży na nich. Owazem węgry lekceważą sobie opozycję rządu austriackiego, co najlepiej wydatniło się w fakcie, że nowe propozycje ugodowe, przysłane z Wiednia, „przyjeły do wiadomości“, składając je bezceremonii do kosza. Natomiast organ przyboczny p. Tissy *Peter Ligyad* mówi o „obowiązaniach“ rządu austriackiego, to znaczy, że nie zwalnia on go z danego słowa, wyrażając się narazem lekkoważąco o wielkości parlamentu austriackiego. Dziennik węgierski, widząc tylko w tej wielkości, bynajmniej nie jest w razie, przykrej przeszłość, daje radę hr. Taaffeemu, żeby za jej pieciami przy pomocy lewicy przeprowadził ugodę do skutku. Węgry więc wyciągają teraz rękę do opozycji niemie-

ckiej, chcąc tym sposobem wyrzucić naciek na prawo. Tymczasem *Deutsche Zeitung* daje im szorstką odprawę, oburzając się, że śmiało wogóle wciągnąć niemiecką opozycję do współdziałania przy oszustwie przemysłowem. Odprawa ta niezawodnie sprawi odpowiednie wrażenie. Na jaki nowy pomysł wpadną węgry — nie wiadomo, jako też — co dalej poczną. Wtajemniczeni zapewniają, że wysokość cła od surowej nafty nie tworzy różnicy pomiędzy obu rządami, że pod tym względem może łatwo przyjąć do obopólnego porozumienia. Przeszkoda ma być jedynie żądanie p. Dunajewskiego, ażeby rząd węgierski położył kros przemycaniu rafinowanej, sztucznie zaprawionej nafty zagranicznej za opłatą od surowca, na co p. Tissa zgodził się nie chce, gdyż właśnie z kontrabandę rafinerii ciągną znaczne zyski. Można i ustęp o austriackiej wewnętrznej polityce zakończyć pytaniem: co z tego będzie? czy ostatecznie zwycięży czyta się przemysłowcy?

Podczas kiedy w węgierskim parlamencie zajmują się bardzo żywo sprawami polityki zagranicznej, austriacki, zwołany na dzień 29 b. m., dźwigać będzie wyłącznie krytykę naftową, z czego niezawodnie wywiążą się ważne kwestye polityczne a może nawet i przesiłania. Prawica znajduje się chwilowo prawie w rozrypcie. Niemieczy klerkalisci stracili swego przywódcę w osobie księcia Alfreda Lichtensteina, który złożył mandat poselski; w lonie tego stronnictwa wybuchły nado wasnie i rozterki tak dalece, że ono prawdopodobnie przestanie istnieć jako osobny klub parlamentarny. Jedną część pójdzie za Lichtenbachera „dziczając“, druga przyłączy się do klubu Hohenzwartha, przez co ten nabierze barwy klerkalnej. Siosunki polsko-czeskie uległy także pewnemu naprężeniu, w szczególności zaś pogorszył się stosunek czechów do rządu, z powodu, że posunęli się zanadto w opozycji przeciwko ugodzie, mianowicie co do żądań swych w sprawie bankowej i podatku cukrowego.

W Kole polskim starcia są także nieuniknione. Opozycja jej podnosi śmiejąc głowę przeciw przybocznej gwardji p. Grocholskiego, czyli stronnictwu rządowemu, mając za sobą przeważną część galicyjskich wyborców i prasy. Prawdopo-

dobnem jest, że będzie ona musiała na razie zadowolnić się tylko moralnem zwycięstwem, gdyż odłam rządowy zawsze jeszcze góruje w Kole polskiem, pomimo że po przeciwniej stronie stanęło kilku nowo wybranych posłów i część t. z. „atenzyków“ pod wodzą hr. Wojciecha Dzieduszyckiego.

Położenie wcale niepocieszające, skoro w wigilię rozpoczęcia sesji nie wiadomo nawet, na jakiej większości rząd opierać się będzie, co znówu ma swoją specjalną przyczynę, wynikającą głównie z postępowania jego podłoża fory parlamentarnych. Rząd zaczyna się przychylać stanowczo ku lewicy, lecz dotychczas miłość jego nie znajduje wzmocnienia.

Dłatego sądzimy, że wszelkie rachuby hr. Taaffeego na poparcie ze strony umiarkowanych jej żywiołów pozostaną tylko plonem życzenia.

Ta mylna rachuba stanowi także charakterystyczny rys położenia.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy bułgarskie wciąż jeszcze zajmują plan pierwszy w polityce. Jeżeli wierzyc można doniesieniom niektórych gazet rosyjskich, to w lonie regencyi wybuchły miasaki; Stambulow i Murtukow pragną posbyć się Karawelową, który okazuje usposobienie pojednawcze względem Rojji. Członkowie rządu tymczasowego spodziewają się mieć znaczną większość w zgromadzeniu narodowem, do którego właśnie rozpoczęto wybory, bo nawet okregi, wysyłające dotychczas posłów opozycyjnych, wybrały mając teraz t. z. „batenberozków“. Przyjład generała Kanlarsa i nota, jaką wręczył rządowi bułgarskiemu, wpłynęła jednak bezwzględnie na przebieg wypadków. Nota głosi, że Najjaśniejszy Pan słyszał dotychczas słowa, teraz chce widzieć fakty, dlatego postępowanie bułgarskie względem Rojji winno uleść stanowczemu zmianie. Trzeba przejąć się myślą, że książę Aleksander nie wróci nigdy do Sofii. Wybory do zgromadzenia należy odroczyć na dwa miesiące i pozostawić wszystkim stronnictwom wolność działa-

jeżdźcie najmniej winne wole. Właściciele ich ryknął, skończył ku nam, za nim popieśnicy jego towarzysze, a ponieważ przed zamkniętą rogatką kolejową musieliśmy stanąć, rozpoczęła się bijatyka, z której Łukasza wyszedł mocno poturbowany. Walco tej woli przypatrywały się z angielskim spokojem.

Skutkiem zajęcia linii głównej pociąg nasz zatrzymał na nieco przed dworcem. Na sąsiednich szynach z kilku wagonów wyładowywano wielkie ukraińskie wole, które miały zginąć w żółdaku stolicy.

Złym jest człowiek — według pewnej autorki angielskiej — którego nie wzrusza widok żółtych liści jesiennych; gorszym jest według mnie ten, którego nie wzrusza widok pływów, opiętowanych, na rzekę pędzonych wolew. Czy kiedykolwiek przypatrzyłeś się im czystynki? Jak smutno zganiędo ich dale, boleśno przeoczuć zamiędzone oczy? Boki zapadłe, skóra wypalony mi stęplami pozaczczona, w całej postaci rozlana niema rozpacz, dźwigają swe mięso na ofiarę okropników, który nie zna dla nich lotosów. Ile razy przeobdaje koło gromadki tych pływów skazanych, wiedzionych na śmierć, serce ścisła mi się straszny kurczem.

Wyprowadzone z wagonu obejrzały się wokół: jedno wachylał się, drugie szukali na niej żółbia potężnego, inne wsłuchiwały się w gwar miejski, inne na-

reszcie spoglądały w górę, jak gdyby badając, czy to samo niebo nad nimi skłapione. W wszystkich odbijało się odurzenie, niemoc, kręgnacyzna. Zestępów, ze swobody, straw wonnych i czystego powietrza, przeniesione w je odmet piekielny, gdzie wężą krew.

— I to one w drodze nie jedzą? — za pytał słuszy kolejowy.

— Szlamują sobie książki — odrzekł odbiorca „towaru.“

— Chocby im wody trochę...

— Może sodejwe... Prędzej tam, nie hałamuć, bo przed czwartą muszą być w salach turze.

— Pierwsza partya już poszła.

— Potrzebne wszystkie — zakomercyl odbiorca.

Odszedłem od okna — w tej chwili pociąg podsunął się pod dworzec.

Z nieprzyjemnem wrznięciem wszedłem do dorozki, odpędzając z myśli mary nieśczęśliwej. Czy człowiek wiecznie karmi się będzie cudzem życiem? Czy on nie wyjdzie sposobów istnienia bez morderstwa? Czy ta konieczność natury nigdy się nie złamie? I ja za chwilę będę jedząc z tych samych istot, których niedoła tak maie rozrzewnia. Co tu właściwie jest słusznem: moje współczucie, czy apetyt?

Na moście składowały się wreszcie: jakaś przeszkoda zatamowała przejazd. Je-

szcze nie zdążyłem zbladnąć przyczyną, gdy dorozka wjechała ze mną w gromadę pływów wolew. Powiżnane za rogi parami, tłoczyły się i rzucały między powozami, a wściekły czeladnik rzucił, w niebieskim fartuchu i szaluszczonym kaftanie, smagał je niemiłosiernie skrógonym w kilkorostnikiem. Jednocześnie z każdego koła spadały im na grzbiety biece, od których skóra się pęgała. Narosło otworzone drogę. Mój dorozkarz miał już wolną, mijając wazak wole, ciął jednego z nich tak mocno batem, że aż biednemu stworzeniu z oka wysiekł krwawy wyżyk.

— I za co go bijesz? — zawołałem wzburzony.

— To na rzek, panie.

Oczy w tej odpowiedzi systemat. Co ma prawo do życia — to zostaje pod osłoną wszystkich naszych uczuć; co na rzek przeznaczone, zasługują tylko na okrucieństwo. Chłopie złe zrobił, postraszysz paszę się bieżki, woźnica oberwał po karku za uderzenie wolew, ciągnących dla rosy, ale to płowe mięsa wolno wycięć dla rosywki. Na koźle dorozki siedział prawdziwy — Pindtor...

W. O.

nia, dlatego przesładowanie oficerów, którzy należeli do spisku przeciw księciu, musi być zaniechane. W przemowie do członków rządu generał Kaubars zgał również aurowo spalanie standardów, zwaśzcza, że zniszczono oznaki orderu św. Jerzego, jakimi były odznaczone.

Dotychczasowe depesze donoszą, że rząd bułgarski uchylił się od spełnienia żądań Rosji. Na drugi dzień po wręczeniu noty w Sofii rozlepieno plakaty, zawierające ogłoszenie o wyborach i program narad. Wzburzenie pomiędzy ludnością wstąpiło. Słowem stosunki zastrzyły się tak, że rozwiązanie wątpliwości wkrótce już nastąpić musi.

Mocarstwa pogodziły się, chcą niechcąc, z polityką rosyjską, nawet Anglia dała już za wygrane, przynajmniej mowa trona uważa fakt dokonany.

Dotychczas najgłośniejsi krzyczą przeciw temu fiktywni mądziarzy. W parlamencie węgierskim interpelacje egypcia się jedna za drugą, wnoszą je przedstawiciele różnych stronnictw. Tisza zaś zwleka z odpowiedzią. Dzienniki głośno mówią o usunięciu Kalnokoego, którego najcięższe ciosy oczekują dopiero w delegacjach. Rozprawiają nawet o zupełnej zmianie osób, sterujących polityką austriacką i o zwrocie jej, zwłaszcza że i stanowisko Taaffego jest zachwiewane. Węgry niechęcią się zgodzi na podwyższenie cła od ropy, uchwalone przez Radę państwa wiedeńską, jeżeli wiece porozumienie nie dojdzie do skutku, Taaffi i Dunajewski będą musieli złożyć teki. Istnieje również myśl rozwiązania Rady państwa, gdyż prawica robiła się na wioło odłamów, pomiędzy którymi występują coraz dobitniej różnice poglądów i rośnie niezadowolone wzajemne.

Parlament angielski odrzucił został do 11 listopada, na ostatnim posiedzeniu odrzucił on bil Parolla w sprawie czynszowników irlandzkich. Rząd jednak utworzył specjalną komisyę, która zbadała ma na miejscu stan rzeczy i obmyślił środki zaradkowe. Wzburzenie umysłów w Irlandyi trwa ciągle, w Belfastie powtórzyły się znowu rozruchy uliczne, które dopiero na drugi dzień zostały stłumione.

W Neapoli podczas obchodu rocznicy przyłączenia Rzymu przyszło do gwałtownego starcia pomiędzy stowarzyszeniami liberalnymi, które święciły publicznie te uroczystości narodową i klerykalnymi. Ci ostatni, zebrawszy się w liczne bandy, kilkakrotnie napadali na pochód, krzycząc: „niech żyje papież-król”. Z tego powodu weszła się zwycięża bojka, którą usmierzeli dopiero policja i wojsko, rozpadając obie strony walące.

Rząd francuski dokłada wszelkich starań w celu nawiązania stosunków dyplomatycznych z Rosją, które nie zerwane wprawdzie, ale milcząc zawieszono zostały. W Petersburgu nie ma dzisiaj woła posła francuskiego. Ministerium Freycinet będzie miało nowy kłopot z Madagaskarem, wiadomo dokładnie, co tam zaszło, ale rząd przygotowuje nową wyprawę wojenną.

Powstanie wojskowe w Madrycie zostało stłumione, rękowanie poddał się władzy. Nie lepiej powiodło się karlistom w Barcelonie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z FRANCYI.

Paryż, 15 września.

La mine aux mineurs. Projekt bezinteresownego odstepienia kopalni węgla Rive de Gier syndykatom robotników górniczych.

W czasie długotrwałej umowy górników w Decazeville, umowy, która w pier-

wszej połowie roku bieżącego mocno zajmowała w Francyi opinię i sfery parlamentarne, podnoszono niejednokrotnie hasło: kopalnie dla kopalnych.“ Powiadano wówczas, że obecni właściciele bogactw kopalnianych są tylko warunkowymi ich posiadaczami; prawodawstwo bowiem górnicze, pochodzące z początku wieku bieżącego, w wyraźne zastrzeżenie zwierzchności własności państwa odnośnie do zapasów, które natura nagromadziła we wnętrzu ziemi. Jest to zresztą zasada, przyjęta przez prawodawstwo górnicze wszystkich krajów — a nie trudno byłoby nawet bronie akademickiej tezy, że bezwzględna własność prywatna, jako taka, nigdy przez żadne prawodawstwo nie była przyznawana. Co się tyczy francuskiego górnictwa, to prawo określiło szczegółowo: kiedy i w jakich warunkach państwo cofnąć może czasowe prawo wyzyskiwania bogactw kopalnianych. Może to mianowicie nastąpić wtedy, jeżeli sposób prowadzenia kopalni sprzeciwia się interesowi publicznemu. Jest to oczywiście zasada ogólna, której zastosowanie w każdym pojedyńczym wypadku podlega rozbirowi. W ten sposób argumentowali ci, co podczas umowy w Decazeville domagali się oddania kopalni w posiadanie syndykatu robotników górniczych. Podnoszono zresztą raczej zasadę samą, dla wywarcia nacisku na rząd kopalni, cząstkowe bowiem przeprowadzenie takiej reformy napotykałoby na wielkie trudności; wiadano nadto, iż rząd nie miał bynajmniej ochoty dokonać podobnego przeniesienia własności.

W początku jednak bieżącego miesiąca zaszło fakt, który postawił próbę oddania kopalni górnikom na porządek dzienny. Zdarzyło się mianowicie, że towarzystwo kopalni węgla w Rive de Gier nad Loarą odstepuje bezpłatnie syndykatom górniczymu eksploatacyę węgla... próba więc gotowa. Gotowości i bezinteresowności towarzystwa iście bezprzykładna i byłaby zadziwiająca, gdyby się nie tłumaczyła w sposób nader prosty. Inicjatywa zresztą wspaniałomyślną tej ofiary nie wyszła z łona przedstawicieli kopalni. Powstał ją inżynier rządu, poseł Laur, który dał się już poznać podczas umowy decazevilleńskiej. Prefekt miejscowy poparł tę myśl, a rząd kopalni nie sprzeciwiał się jej zbytnie, co, z uwagi, że kopalnie, mające być przedmiotem bezinteresownego odstąpienia, nie są obecnie eksploatawane, ponieważ eksploatacyę ich przestała się opłacać. Postępowanie projektodawców w tej sprawie było najzupełniej legalne: kopalnię zapuszczono, wstrzymano pompy, wydobyciawy wodę z szybow, dozoru zaniehdano, a to są właśnie wypadki, w których prawo nakazuje usunięcie niedbalego posiadacza od własności. Prefekt tedy zwrócił towarzystwo do skutkami prawa; poseł Laur, dla zrobienia sobie rozgłosu, czy wykazania dobrych chęci, projekt zaangażował, a ustąpienie kompanii postawiło odrazu projekt na nogi. Dziś pozostaje tylko oczekiwać na ostateczną sankcyę w tej sprawie; rząd przytem kopalni w Rive de Gier zastrzegł sobie zatwierdzenie swego postawienia przez walne zgromadzenie akcyonaryuszów kopalni, co podobno wątpliwości nie ulega.

Towarzystwo kopalni w Rive de Gier należy do grupy czterech wielkich kompanij, które eksploatają z powodzeniem trzy inne kopalnie: mines de Montrambert, do St. Etienne i de la Loire. Kopalnia w Rive nie opłacała się nalecyć. W r. 1883 nie dała żadnej dywidendy, w roku zaś zeszłym tylko po 3 fr. na akcyę. Akcyę to na giełdzie lyońskiej stały po 18 do 20 fr. W tych warunkach towarzystwo skorzystało z wyborowego protektu do pozbycia się ciężaru, a w dodatku nadarzyła się sposobność do zrobienia próby z oddaniem kopalni syndykatom w najgorzejszych warunkach. Miał się rząd kopalni grubo śmiać, ustę-

pując tak łatwo acyonalnym roszczeniom szan. posła i górników. Jeżeli bowiem zasobna kompania uważała wyzyskiwanie kopalni za nieopłacające się — to cóż pocnie na jej miejscu anydykt górniczy, nie posiadający odpowiednich kapitałów do prowadzenia przedsiębiorstwa, odpowiedniej organizacji i nawiąływania, otoczony zewsząd nieprzychylną dlań formą produkcyi i biorący się do dzieła, które z góry obliczone jest na straty.

W takich warunkach można zrobić tylko nieudaną próbę, która będzie można następnie kładć oczy wszystkich zwolenników tego przeniesienia własności, jak kłuto aż do znużenia „narodowymi warsztatami“ Ludwika Blansa.

Mimo to wzięto się już do rzeczy. Syndykat, w oczekiwaniu ostatecznych zatwierdzeń swych nowych praw, wszedł już, za zgodą zarządu kopalni, w jej posiadanie, oraz upoważnił posła Laurą do ogłoszenia konkursu „w sprawie organizacji kopalni, posiadanej przez syndykat zawodowy robotników górniczych.“ Termin ostateczny konkursu, ogłoszonego tylko na przeciąg dni piętnastu, upływa właśnie. Inżynier Laur zapewnia, że z przedsiębiornych przezeń poszukiwań, z połączenia syndykatu, wypływa, iż w dwunastu miejscowościach, w których dobywano już węgiel, znajduje się go jeszcze 1,305,000 tonn, niezależnie od odkryć, które można będzie jeszcze pozyskić.

Nie jesteśmy dokładnie poinformowani o pobudkach, które skłoniły rząd kopalni w Rive de Gier do zerwania ze swego stołu tej kości, o którą mają się pogryźć zgłodniałsi górnicy i żądni rozgłosu politycy. Kto wie jednak, czyby na złóż nawet ofiarodawcom, próba nie udała się, gdyby rząd przyszedł ze skuteczną pomocą syndykatom, który rozpoczynając tak nowy i trudny eksperyment socjologiczny, potrzebuje jej niewątpliwie. Niema atoli widoków, ażeby ta pomoc rządu była więcej niż płatniczą — przewidzieć tedy można, że eksperyment nie uda się ku wielkiej uciecie nieprzychylności hasła: *la mine aux mineurs*. Niespodziewane atoli, awanturnicze i z góry obliczone na fiasko próby, przesądzać nie mogą sprawy reformy francuskiego górnictwa. Sama już ta próba, chociażby była jaknajbardziej niefortunną, przypomnia, że sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego.

P.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORIA.

PULAWY.

II.

Begaltacya księżyń, dąsność liberalna księcia, pozbawiona śmieśnej dostoje, sięgają czasem nawet poza pojocia kamste — aż do ludu i włóscin. Księżna, wraz z córką Maryą, leczy i ucyz dziatwe wiejską, zakłada ochrony, szkolki, szpitale, odwiedza chaty, sadzi przy nich ogrody i pizee dla nich księkinki.

Księżka rozpisuje do rządów kwstonaryusz, jakie ulgi można przeprowadzić dla poddanych, jeden z pierwszych w kraju i przed wielkim sejmem podejmuje myśl — i w części ją przeprowadza — stopniowej zamiany pańszczyzny na czynsz, potem zakłada na próbę w gminach dobr pulawskich kasy pożyczkowe dla włóscin. Zbliżenie się to do ludu nie było nasładowaniem francuskiej rewolucyi, której krwawo sceny „wabudwały odstroje“ w Pulawach; ale ta dąsność i ten nadzór nieco

sentymalny, lubo podniosły i szczyt, były dalszym ciągiem kierunku, jaki się zaznaczył w zasadach społecznych na wielkim sejmie, w objawach literatury, w całym sposobie życia społecznego. Starano się wówczas „lud podnieść ku wyższemu stanowi”. Nie ma pieśni i książki, natchnionej w Puławach, w którejby nie odzywała się ta struna. Chłopek, zupełnie pomijany dotąd w literaturze naszej, występuje w „Świątyni Sybilla”. Wronieź, jako „przyszły dziedzic wielkości narodu iśmiejci jego krzywd” — widzimy go w dziełach Karpiskiego, Książnika, Niemcewicza, nawet na obrazach Stachowicza. Gdy o tę strunę ludowa tracił Kościuszko pałacem i wywołał ochotę w dźwięku kos — zsieli on to, co się w Puławach snuło marzeniem. Prawda, że lud pokazywał się na pańskim dworze, jako dodatek urozeczy sceny, nawet wtedy, gdy książę Jabłonowski dążył wolnością i wianem nowożeńców lub k. Sanguszko zasiadał pofale w kole ulubionych i wiernych kozaków granowskich, gwarząc i pobudzając ich do śpiewu i tańca. Ale choć w tem wszystkim było trochę sielanki pseudo-klasycznej z dekoracją w stylu *rococo*, motywy rodzinne i ludowe odbijały się żywo w sercach, jakby przeżuciem nowej doby. Puławy to polskie Ateny, albo przynajmniej polski Wejmar, przybierający postać akademii. Trzy generacje wyszły z tej szkoły, a długo, do niedawna jeszcze poznawano wychowawców Puław, lub tych, co się o nie otarli. Znamionowała ich bowiem odrębna cecha. Trzy tu składały się pierwiastki: światowicie, patryotyzm i zamiłowanie do literatury. Wychodzili stąd ludzie pióra, oręza i salonu. Kultura puławska rozszerza po kraju owe odrębne typy grzeszności i galanterii ryterskiej. Wychowują się tu obok synów wielkich rodów, jak Sapiehowie i Radziwiłłowie, synowie plebistów, ubogie szlachciki. Była tu edukacja najświętniejsza, jaka młodzieńcom i panna wówczas otrzymać mogli, wjeście w „najpiękniejszy świat” zarazem, a że czas to sentymentalne, więc prę „festynach” w pałacu powstają „afekta,” kończące się zwykle małżeństwem.

Od przesiedlenia się książąt z Warszawy na stałe mieszkanie do Puław (1784) aż po pierwsze zniszczenie (1794) — to pierwszy okres ich rozwoju. Właściwa „epoka puławska” rozpoczyna się dopiero po upadku Rzeczypospolitej. Społeczne, literackie i polityczne znaczenie Puław rozwija i potęguje się teraz, a gdy Warszawa i Kraków, stolice dawnej Polski, przechodzą z rąk do rąk, znajdując tam punkt zborny oki, którzy „przeszłości nie zapomnieli, a przyszłości się nie wyrzekli.” W okresie legionów napoleońskich były Puławy niejednokrotnie widownią ważnych w dziejach narodu zdarzeń, bądź to podczas wojny, ulegając rabunkom, zniszczeniom, przechodom wojsk nieprzyjacielskich lub przyjęciu polskich, bądź też jako miejsce zjazdów i oświeśmienia monarszych. Były one wtedy tłem, na którym rozstrzygały się to pełne dramatyzmu przejścia i wstrząśnienia, nie bez złudnych nadziei, po których miała nastąpić doba ciszy, wypoczynku i wewnętrznego skupienia.

Wówczas powstawa w Puławach myśl zbierania pamiątek i utworzenia z nich wielkiego obrazu przeszłości. Zniszczenia rewolucji francuskiej zbudziły ton ogólny popędu do ratowania i pamiątkowego gromadzenia tego, co ocalało. U nas dążeń to odpowiadała nauce patryotyzmowi, bo przeszłość stawała się wszystkim, gdy życie narodu zamierało. Umilowanie zabytków i ducha przeszłości były wtedy jedną rękąmi przyszłości. Książka daje pierwszą ku temu pobudkę do gromadzenia pamiątek, dotąd nieszanowanych, a puławska „Świątynia Sybilla” stanie się kolebką polskiej archeologii. Wszelako pobudka

ta, jak cały charakter owych zbiorów, jest przejawem uczuciowy. Nie pytano, czy przedmiot jest ściśle autentyczny i jaką ma artystyczną wartość — ale czy ma urok. W muzeach puławskich odróżnić też trzeba to, co założyliście sami nabywali, od tego, co przyjmowali z darów. W pierwszym daleko znajdujemy prawdziwe perły w obrazach, rzeźbach, przedmiotach muzealnych i bibliotecznych, z drugiego źródła przybyło wiele rzeczy bez wartości, ofiarowanych i przyjętych z sentymentem ówczesnego. Książę generał łączył sobie nieraz z tych podarunków i pamiątek, mających przypominać wszystkie postaci historyczne.

Dworzanie puławscy opowiadali anegdotę, jak przywołał kozaka, kazał mu znuć buć, przylepił kartkę, tak Dąngisha — i przesał gożonienie do „Świątyni Sybilla.” Na współczesnych jednak wywierał swój wpływ to zabity, przemawiając do uczucia, budząc cześć przeszłości. Stały one za temat do objaśnień historycznych, pobudzały do znajomości dzieł ówczesnych, a nieraz stawały się podnieta dla natchnienia poetów. Przez „Świątynię Sybilla” i „Domek gotycki” przenosiło się całe pokolenie ludzi, co stać wywniesi głębokie na całe życie wrażenie i odrębny kierunek.

Była to epoka „antambuchów,” które Puławy na całą Polskę rozszerzyły i które przeciętnie się joshoo do epoki Mickiewicza. Wzorowały się one według księgi, noszącej nazwę „Rezonowanego katalogu „Świątyni Sybilla” Fundatora jej sądała od każdego z przybywających, a mającego rozgłos literacki, rozprawy o temacie jednej z pamiątek. Przeznaczaniem tej księgi było, aby powoli na tie zabytków tu zgromadzonych utworzył się jakby rodzaj encyklopedyi rzeczy polskich, w którejby każda postać z historii i literatury naszej znalazła swą monografię. Myśl piękna, w ówczesny tylko została uwieczniona skutkiem, a zamiast monografii spotykamy tu najczęściej wylów uczuć i myśli zwroboonych ku ojezynie, a składanych w hołdzie kapłanów przybytku. Obok tej księgi prę było drugie album, przeznaczony na poezye, zapisany przez pierwszych poetów współczesnych, bezpośrednio lub pośrednio związanych z Puławami. Największy urok otaczał „Świątynię Sybilla,” mieszającą w sobie, jak wspomnieliśmy, obok skarbów sztuki i nauk, sentymentalne pamiątki, jak np. trawki z grobu Fingala, albo pantofle pani Maintendon, obok cennych i prawdziwych przedmiotów także legendowe, jak np. ówa straża, która Tell stracił miał jaskółkę z głowy aynal, tu w manii posuwano się tak dalece, że wbrew sentymentalizmowi owych czasów wydobywano kości sławnych meów z trumien na to, aby je umieścić jako przedmiot gabinetowy dla ciekawości zwiędających, niby relikwie świętych w kościele. Wychodząc z tej zasady sprowadzano do „Świątyni Sybilla” głowę Kochanowskiego, kawalek kości Kopernika itp. Gromadzenie tu jednej cegły z historycznej budowli, tam kawałka muru z słynnego pomnika — „aby nie brakuć śladnej narodowej pamiątki” na ścianach „Domek gotycki” zabitoż należało do tych przewinień, które tylko intencja i poeja współczesne usprawiedliwić mogły. Zbieraniu puławskiemu zyskała wagę dnośność za daleko sięgającą w duchowieństwo, zwłaszcza biskupa Wronieź, ale była ona stokroć lepszą, niż niszczenie i zerzanie dzieł sztuki w kościołach. Kiedy np. wnoszono barokowy pomnik dla biskupa Sołtyka, wyrzucono wspaniałe sarkofagi Jagielly i Kazimierza Jagiellończyka, dzieło Wita Stwosza ze brodka kościoła, aby je schować, jako rażący zabitek czasów barbarzyńskich w kątach kupcy! Puławy były jedynym miejscem w Polsce, gdzie wielką cenę przywiązywano do zabytków przeszłości bez względu na epokę i styl. Czyli się wobec tego

dziwić można, że odsyłano tam chętnie to, co gdzieindziej uległo zagładzie!

Przez słabość książąt w wiązaniu każdego przedmiotu z jakimś imieniem albo wypadkiem historycznym, dostało się tu wiele fałszywych, albo przynajmniej niewiarogodnych rzeczy, natomiast świadczą zbiory te o pewnej wesołości, która wbrew uprzedzeniu pseudo-klasyków warszawskich dozwala w Puławach stawiać obok zabytków starożytnych, mające już woń romantyzmu. W koleceji pamiątkowej przeważa tu już zwrot do średnich wieków, zaczęwszy od samej budowli „Domek gotycki.”

Wartość naukowo-artystycznych i biblioteczno-archiwalnych zbiorów mierzyć się praktycznymi ich rezultatami, o ile oddziaływały na stopień cywilizacyjny społeczeństwa i pobudziły jego produktywność umysłową. Zadanie to spełniły Puławy w zupełności. Każda tarca pamiątkowa, zawieszona w sali „Świątyni Sybilla,” każdy kamień z historycznych budowli, wmurowany w ścianę „Domek gotycki” — rzeź można bez przesady — dać pobudkę bądź do pracy historykom, bądź do twórczych natchnień poetom. Jak mury „Świątyni” obrosły z zewnątrz mochem i poewojem, tak ją umiała i dokoła opalała tarozbudzona wegetacja literackich plodów.

Można twierdzić stanowczo, że Puławy tworzą osobny okres naszej cywilizacji, dający współczesnemu wlaściwy sobie ton i woń — od *Pielgrzymy* na *Dobromiła*, fundatorki tej „Świątyni, aż do *Śpiewów historycznych*, będących niejako ilustracją tu nagromadzonych pamiątek narodowych. W beletryście, a zwłaszcza w poezyi szkoła puławska odróżnia się równie dotknie od warszawskiego obozu klasyków jak od romantyków wileńskich swym patryotyzmem wyłącznie nastrojem. B.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Dresno, 1886, wrzesień.

Rzut oka na dzieje piśmiennictwa żydowskiego. — Nowe dzieło G. Karpelasa. — Budynki i szlachciki. — Altanburzy, dawni słowianie. — Nowe badania nad heteryzmem. — Nowości książkowe: Studya Legera, Simona, cesarz Wilhelm. Relholdta, Dzieje piśmiennictwa rosyjskiego. Dzieje przyszedł o wojnie r. 1890. — Halka w Pradze. — Patryotyzm i gotowizna.

Przebieg dziejowy umysłowości żydowskiej przedstawia jedynie w swoim rodzaju widokowi: tworzy namspredzi ziarno — biblia, treść wielowiekowych pracy narodu, skupiająca w sobie wszystkie utwory wszelkich kierunków ducha, od prawideł moralnych do najdrobniejszych przepisów zdrowotnych i kuchennych, od hymnów do Boga do najgroźniejszych mądrygłów, od klecht i bajek do dzieł prawdziwych. Ze to ziarno pierwotne składało się powoli, z najdrobniejszych żywiołów i w ciągu bardzo długiego czasu, o tem przekonywa najnowsza krytyka teologiczna (np. Reuss w znakomitem swem dziele *L'histoire sainte et la loi*); nie wchodzi w rozbiór pytania, jak to pierwsze źródło literatury żydowskiej powstało, wzdromo tylko uwagę, że w tej zaokrągłej całości, w jakiej je posiadamy, jest one jedyną w swoim rodzaju encyklopedją i esencją umysłowości jednego z najstarszych na świecie narodów.

Jedyną też w swoim rodzaju jest dalszy przebieg piśmiennictwa żydowskiego. Biblia pozostaje w niem i nadal jadrzem jodynem; ona prac umysłowa dalszych pokoleń żydów sprowadza się do zataczania

koło niej kęgów współśrodkowych. Piszę się objaśnienia do Biblii; potem objaśnienia do tych objaśnień; dalej objaśnienia do tych objaśnień i tak ciągle, przez lat przeszło tysiąc, aż do naszych czasów; za drogą powstają Midrasze, Talmudy, Miszny i wszystkie owe dawnie brzmiały wyjaśnienia wyjaśnień, głoszą glos... Lecz wśród tej roboty na posór bezdusznej i mechanicznej, duch pracowników rozwija się i potęguje, ulega wpływom postępu nauki na całym świecie i sucha praca komentatorska, przetwarzana na źródło natchnienia poetycznego i rzutów filozoficznych. Drobny szczegół egzegizyczny wyrasta na obszerną monografię; nuta psalmu lub pieśni nad pieśnią; nuta zachęta do twórczości dalszej; ponura filozofia Kohelethu daje popęd do zachowań etycznych i metafizycznych; przepisy zdrowotne podniecają do badań przyrodniczych i lekarskich. Zakwita świętą okres poezji hebrajskiej w Hiszpanii, występuje cały szereg lekarzy i przyrodników, myślicieli i starożytników żydowskich, współbiegających się z arabskimi, górujących nad scholastykami Europy.

Z Biblii więc, jak planety z obrotu pierwotniejszej masy kosmicznej, wydzielają się, odosobniają i w samodzielną bryłę tęczą wszystkie kunsztu i nauki, któremi tyż żydów się odznaczały przez ciąg dwóch tysięcy lat ostatnich.

Myśli te nasunęły mi niedawno ogłoszone dwutomowe dzieło znanego u nas dobrane przyjaciela naszego p. Gustawa Karpelesa *), powitane największymi pochwałami krytyki niemieckiej. Obejmuje ono jednolitym obrazem cały przebieg żywota umysłowego żydów, aż po nasze czasy. Napisane jest zajmująco, a prztem krytycznie i z podziwa godną znajomością monografii dotyczących.

Zdaje mi się, że obowiązkiem jest żydów polskich jaknajprędzej przyswoić pracę tę piśmiennictwu naszemu, nie tylko z powodu interesu plemiennego, ale, co ważniejsza, z przeżywanego znanego wpływu, który literatura żydowska, szczególnie początkowa i średniowieczna, wywierała na umysłowość europejską, i w rzędzie tym i na naszą. Ile Biblia hebrajska podzielała na język nasz i cały nasz bieg myśli, tego jeszcze dokładniej u nas nie oceniono; mnie się zdaje, że wpływ jej był ogromny.

Żydzi upodobił ją się z czasem do narodów, wśród których mieszkała, a tem nie wątpliwe, piśmiennictwo hebrajskie stało się zabytkiem tylko i pomnikiem, dostępnym niewiele wtajemniczonym; otóż dzieło p. Karpelesa stanowić będzie klucz do tego cennego muzeum; bez poznania skarbow jego ciąg cywilizacji ludzkiej zostanie zagadką.

Plemiona nikną lub się przerażają, myśl tyż ludzka souje się nieprzerwanem pasmem, nie pytając, kto z jakiej krwi pochodzi i jakim mówi językiem. Tu, na ziemi saskiej, depczemy groby braci naszych słowiańskich. Dobrze ktoś powiedział, że cały ten kraj, o mil kilkadziesiąt na wschód i zachód Elby, jest wielkim cmentarzyskiem słowian. Coż po nich zostało? Smutne wspomnienia dziejowe i tyżnające nazwisk wai, pół i lasów. Tam, nioo na wschód, tyżje jeszcze garstka Łużyczan, nie mająca wcale ochoty umierać, jak ich pobratymcy na Śląsku dolnym, w Altemburgu i gdańszynie.

Odwiedzałem niedawno Badyszyn (Bautzen) i korzystałem z gościnności znanego u nas księdza Horknika. Było to niedziela, więc kościół lużycki napelniał się ludem wiejskim, przeważnie kobietami w dzwinych, żałobnych strojach. Pieśni modlitwy i kanzanie odbywały się w języku, ma się rozumieć, lużyckim. W samem mieście niewiele jest słowian; kilkanaście tylko

sztydów i gdańszynie zasłyszane dzwiki mowy nam pokrewnej, świadczą o ich obecności. Ale okolica wiejska zaraz za Badyszynem jest przeważnie lużycka, aż do granicy pruskiej, za którą mieszka sporo jeszcze słowian lużyckich.

Na jednej z ulic Badyszyna spotkałem kilkanaście dziewcząt, w stroju bardzo do naszego wiejskiego zbliżonym; były to szlazarzki od Opola, sprowadzone na miesiąc robot polnych przez jakiegoś Niemca w okolicie stolicy lużyckiej; skarały się na przeciążenie pracą i niskie wynagrodzenie.

Siedziby lużyczan ciągnęły się daleko na zachód, aż po rzekę Sałę. Lipsk, Altenberg były słowiańskimi, aż po niedawno jeszcze czasy. Zostały tego ślady w nazwach miejscowych i gwarze ludu, który używa dziś wprawdzie wyłącznie niemieckich, ale tak dzwinni i w tak niezwykły sposób przekształconej, że tylko wpływa dawnej mowy plemienia powstanie jej da się objaśnić; dużo też śladów słowiańszczyzny pozostało tam w stroju, tańcach i zwyczajach odrębnych owych miejscowości.

Ciekawy opisu ludu altemberskiego podał ostatni zeszyt miesięcznika *Vom Pels zum Meer* **), ilustrowany licznymi rysunkami. Kapoty męzozyn i strój głowy kobiet przypominają stroje lużyckie, a niekiedy i nasze. Zresztą, jak wszędzie, ubiory to nikną i dzia, gdy się pojawiają w Dreźnie, zwracając powszechną ciekawość, jako rzecz stojąca się powoli zabytkiem. Za zwozaczyn altemberskich najciekawszym jest może ten, iż gospodarstwo odziedziczą zwykłe syn najmłodzy, spłacając resztę rodozństwa, a starych rodziców osadzając, jak mówią na Śląsku i w Poznańskiem, na *wymowie*, na *wygu* albo na *wydbunku*, to jest przeznaczając im pewne utrzymanie dożywotne i mieszkano.

Kiedy już mowa o plemionach wygasających lub wygasłych, zrówny uwagę na wielki i znaczenie ucywilizowany niedgdy lud, którego tylko imię dotychczas znano; mówię o hetejszyskach biblijnych; starożytni dzisiejsi, na podstawie wskazówek egipskich i asyryjskich, oraz nadsłisów hetejskich i zabytków sztuki w Syrii i Azji mniejszej wskrzeszają wspomnienia o potężnem tam niedgdy plemieniu i wszelkie usiłowania czynią, aby piarno i mowę jego odgadnąć. Zdaje się, że był to jeden ze szczezynów aryjskich i że od niego zapożyczyli piarno greocy cypryjski wrzód nim przyswoili sobie foniekie. Zajmujące zestawienie ostatnich badań o hetejszyskach podala niedawno *Revue des deux Mondes* (z 15 lipca), piora Perrot, który wspólnie z Chippiezem ogłasza znakomite dzieje sztuki starożytności, tłómaczone obecnie na język niemiecki.

Jeśien przynosi, jak zwykle, wiele nowości księgarskich. Najbardziej nas zajmującym będzie wkrótce wyjsz mająca praca profesora Hory, zamieszkałego w Pilczynie czeckim, mająca ułatwić czechom i polakom wzajemne porozumiewanie się; będą to rozmowy czecko-polskie, ile sądzić mogę z łaskawie udzielonego mi rękopisu, nader praktycznie i poprawnie ułożone.

Profesor Legor świeżo ogłosił drukowane ostatnimi czasy po różnych kazańsmach studia swoje słowiańskie, zgromadzone w jeden tomik ***); pomiędzy innemi znajduje się tu krótka ale dosadna charakterystyka Kochanowskiego, oraz rent oka na mitologię słowiańską.

Z Francji także przybywa wiele zajmujących tyrcyory cesarza Wilhelma, który nazwał raczej nazwał można obrazem dziejowym jego epoki ***).

*) Krause: *Die Altemberger Bauern*, zeszyt wreszłowy.

**) *Nouvelles études slaves*, 2-me série, Paryż, 1886.

***) Ed. Simonet: *L'empereur Guillaume et son regne*, Paryż, 1886, wyd. drugie.

okie; zdając sprawę o tem dziele, podziwiał obšerną wiedzę i nadzwyczajną bezstronność autora; oczywiście, jako francuz, nie może on być admiratorem bohatera swojego; ale mimo to, czy raczej właściwie dlatego, książka jego góruje nad setkami panegiryków niemieckich, które wstręt obudzają skłuszonym lub szowinistycznym tonem swoim.

Nie będąc specjalistą w dziejach piśmiennictwa rosyjskiego, nie umiem ocenić nowej pracy Reinholda, ukazującej się w historii literatury świata (w którym się znajduje Nitschmanna dzieje piśmiennictwa polskiego), a obejmującej historię literatury rosyjskiej *); znowy bardzo pocholebie o niej się odzywać; jest to spory tom, o przeszło 800 stronach; wick XIX zajmuje połowę dzieła.

Słowkiem wspomnieć wypada o efektywnym wybruku jakiegoś amerykanina (a może kryjącego się pod pseudonimem Niemca); napisał on dzieje wypadków z r. 1890 — 91 pod tytułem: *Bleithheim* **); ten ostatni wyraz oznacza jakąś miejscowość, w której odogdał się niby młoda straszna walka upadających monarchii europejskich z tryumfującą rzeczpospolitą, która oia ośco naszą swiata ogarnia już w r. 1932; autor opisyuje wypadki, jakby je widział, przytacza nawet wyjątki z dzienników niemieckich, angielskich, włoskich, nawet rosyjskich i to w mowie oryginalnej; bardzo to zabawne i na szczególne... nie dtingie.

Na wiadomości o „Halce” Moniuszki, mającej się ukazać w drugim wznowieniu na scenie teatru czeckiego, spieszyliśmy do Pragi. Nie potrzebuję opisywać wrażeń naszych; każdy je łatwo sobie wyobrazi, kto się przeniesie myślą w warunki miejsca i czasu. Opera bardzo się podobała czechom; zdaje się, że najmie stało miejsce w repertuarze praskim. Wykonanie było piękne i staranne; pani Arklowa ślicznie śpiewała, a szczególnie grała główną rolę. Pierwsze przedstawienie odbyło się 19 września; na drugim, 21 września, rolę Jontka wykonał Poljanek. Piszę mi, że to drugie przedstawienie odbyło się znowu przy pełnej sali i wśród oznak ciegołego zadowolenia ze strony słuchaczy.

Na zakończenie depesza z Paryża, powtórzona z licznymi znakami zapytania i wykrzyknikami przez dzienniki niemieckie: „korespondent dziennika *Soleil* donosi, że merowie appełali ludność do Strasburga na przyjazd cesarza niemieckiego i pałci męzozynom po 5 marek, dziewczynom po 3 marki, oprócz kosztów podróży.” „Za prawdziwość wiadomości tej nie ręczę, ale ani wykrzykników, ani pytajników przy niej nie umieszczę...”

Jan Karłowicz.

WYBITNIEJSZE PRĄDY

w nowoczesnej literaturze francuskiej.

II.

Idea „impersonalizmu” (nieosobowości) nie jest wcale nowością; była ona przedmiotem sporów estetycznych nie tylko w francuskiej, ale w każdej innej literaturze, nie wyłączając i naszej, w której przybrała odcienie walki o tendencyjność autora w jego pracach. Rozważając go jako pewną formę tworzenia, trzeba przyznać, że zupełnego „impersonalizmu” niema i być nie może, autor posiada tylko większą lub mniejszą zdolność ukrycia samego siebie w swem dziele i właściwie

*) *Geschichte der russischen Literatur*, Lipsk, 1886.

**) *Bleithheim*, der Krieg von 1890 — 91, seine Ursachen, Kosten und Folgen. Zurich, 1887.

*) *Geschichte der jüdischen Literatur*, Berlin, 1886, u Oppenheims.

rzecz biorąc, tylko tę zdolność nazwać należy „impersonalizmem.” Do pewnego stopnia jest to bardzo pożądanem, abyśmy w sztuce jaknajmniej widzieli artystę; złudzenie prawdziwości, jakie czytelnik odbierać powinien, wymaga tego. Pomiedzy autorem a czytelnikiem dać się musi coś podobnego, ale się dzieje w teatrze martynetek: trzeba, abyśmy widzieli obraz, ruch, ale nie widzieli ręki, ten ruch wywołującej. Nie usowa to jednak zupełnie wewnętrznej sprzeczności działania: ukryta czy nie, zawsze ona istnieć będzie. Odnosnie do autora, dać się musi to samo — w utworze swoim musi on być obecnym. Wypływa z tego samego charakteru tworzenia: pisząc, malując obraz, nie farbami, ale słowami i piórem; ów obraz nie przestaje być obrazem, staje się tylko wyłuszczoneym, abstraktem, staje się pierwój pojęć, odczuć, wpatrzy się, słowem stworzył go pierwój w swojej duszy, a później dopiero przenosi na papier. Taka czynność psychiczna jest nadto złożoną, ażeby się mogła porównać z duszą artysty na papier, nie pozostawiwszy żadnych wrażeń osobistych, które przecież ten obraz wywołały.

Znając zatarcia osobowości w literackim utworze sztuki jest regułą, niewłaściwie wywnęta ze stosunku autora do pracy w dziedzinie plastyki, w której indywidualizm znika prawie zupełnie. Wypływa to z prostego sposobu wyrażania myśli, która ujęć się dla w ściśle określone formy. Z utworem literackim dzieje się inaczej: autor do wyrażenia swego indywidualizmu posiada daleko więcej środków — myśli, słowa, obrazy — i dlatego daleko trudniej może ująć się. Niektórzy piszą o „impersonalizmie” w sztuce stworzyli rodzaj teorii estetycznej — sztukę dla sztuki, sztukę bez ognia — jak np. Gustaw Flaubert w powieści „Leconte de Lisle” w poezji, a Ronsau w filozofii. Ch. Fuster powiada, że „impersonalizm” jest skądświdy dla literatury i dla myśli. Czem? Tęgo nie tłumaczy z powodu bardzo prostego: skądświdy tej teorii wcale się nie zaznaczyła, dała zaś literaturze takimi bardzo świętymi pisarzów, jak to kładły odgad z przytoczonych wyżej nazwisk.

Flaubert był niezaprzeczenie pisarzem bardzo niepospolitym, powiedział można: wielkim; okresy jego stylu brzmią dwiekami lub lśnią barwami; nie czytaś ich, ale deklamujesz. Jeżeli sięgniesz dalej i od styłu przejdziesz do idei, zobaczysz, że Flaubert stara się swoje teorie „impersonalizmu” w sztuce przeprowadzić w praktyce. W żadnym z jego typów literackich nie można dostrzec autora, nigdzie, zdaje się, nie dać im swego serosa, swoich myśli. Nie przeszkadza to jednak widzieć w nich postaci, urobionych według osobnego pojmowania życia, które, jak wiadomo, wydawało mu się szarem i zniechęcającem. Nigdzie ślady autobiografii, mniej jeszcze jakichbądź wznach: autor zaciara się, chowa za swoim dziełem i każe temu ostatniemu występować niby samostanie. Występ to zapewne bardzo wymowny, ale o ileż byłby wymowniejszy, gdyby po za tymi bez zarzutu okresami było jego własne seroso i gdyby prawdziwie wielki Flaubert nie krył własnych niezaspokojonych za rozczarowaniami Emmy Bovary, Bonvarda i Pécucheta! Ślusznie powiedział Goncourt, że „krew jest najłepszym atramentem, ażeby swoje imię w pamięci ludzkiej zapisać.” Flaubert nie poszedł za tą radą, a jednak zdołał zapisać się wielkimi zgłoskami w dziełach literatury — czy tylko dlatego, że był świętym stylistą?

Wpływ jego byłby niezawodnie szerszy i głębszy, gdyby po za obserwacją drobniagową, po za obrazami malowanymi ogniem piórem, ózód było jego szanoczące się dusze, gdyby w metalicznym dźwięku i w muzycznym języku można było usłyszeć łkanie własnego serosa.

Taki jak żywy wybiega czasem z duszy Leconte de Lisle'a i to właśnie nie podoba się oziębieniu formy dla formy, sztuki dla sztuki, ale jego imię może dłużej od zapominania uchronić. Ózód, że Leconte de Lisle, yznawca idei niezo zafascynowanych, w obronie ich poddawał się im musi coraz bardziej — a jednak niekiedy zapomina o nich, idzie za pędem uczucia, wydawnia, nie nie troszcząc się wcale o nagane uczniów i naśladowców. Może to są najlepsze godziny pisarza. Zupełna refleksja, pod wpływem której autor pracuje, stworzyć może dzieło skończone co do formy i natężenia, a mimo to nudne w czytaniu, a chłodne przy ściślejszej analizie. Obrazy, które on maluje, są wspaniałe — z tem trzeba się zgodzić: jego pioszusz indyjskie pełne ciemności, góry oblane strumieniami światła, wielka ciżba nosi oddu na wodno, śnieg robi wspaniałe wrażenie na krwi skropionem polu bitwy; dalej Chrystus umierający pełen majestatu, Kain, uciekający pustynią, nosi na sobie piętno całej grzesy; jeszcze dalej ślicznie założone wycie wilków w stołkach gór, widak dolinę na wyspie Bourbon i jej złoć, której żywe barwy mienia się od słońca, albatrosy śpiące w lodowatym powietrzu Kordyliarów, wielki średnie zmartwychwstałe w okropnej grze tortur — wszystko to jest bardzo piękne, wywołne zaklęciem mistrza, ale wzrusza nas do połowy tylko, gdyż w obrazach i po za nimi nie widak mistrza, który chowa się w fałdy własnej odczoły. Pod udrapowanym płaszczem jest prorok ukryty, a my szukamy człowieka. Niezawodnie, że pod tym płaszczem jest także człowiek, ale wychyla się zbyt rzadko, jakby się wstydył zwykłych śmiertelników. Wskutek tego dzieło monie i trwa, zbudowane z kamienia i śpiak, pozostałe symetrycznem, wyniosłem, zimnem, kiedy my pragnielibyśmy widzieć w niem bijące boleścią seroso.

Takim bićm serosa natękał E. Ronsau swoje prace — ale czego on nie uczynił, aby amylid i odukał uwagę w inną stronę! W tem właśnie chyba jest najwyższy stopień, do jakiego „impersonalizm” w sztuce dojść może. Ronsau zdaje się nie być człowiekiem; porównać go raczej można do niepochoytnego Proteusza, który pokazuje się, ucieka, aby znova wystąpił pod nową postacią. On robi zawsze to, co Sainte-Beuve robił niekiedy: każda teorya wydaje mu się dobrą, każda forma godna rozbioru, każde wrażenie asługuje na to, aby było odczułem. W tej mieszaninie rozmaitych mniemań, sprzecznych formuł, najdziwniejszych wrażeń amyał gubi się, szukając mniemania, formuły lub wrażenia, któremi powodują się najchętniej jego rozum tak gietki — dziś mistyczny, do niedawna jeszcze niezozący budowę religii, jutro poblaty i przyjemny wolterjan. W tej, zda się, nieskończony rozmaitości dusz nie można zgadnąć, która jest jego prawowitą duszą. Filozof, szczerzy bez zaprzeczania, przybiera pozory mistyfikacji jako pisarz — myli ciagle awymni poszukiwanymi zwrotami, jako poeta, gdyż Ronsau i poeta jest niezawodnie — napawa jakimś łagodnem wzruszeniem i budzi z tego uspienia drwiciem — usmiechem. Tęgo rodzaju „impersonalizm” robi z Ronsau jakby echo z trzask sprzecznych siebie kierunków i stron dolać, a on powiniem być człowiekiem i nieczem więcej, tylko człowiekiem.

Człowiekiem pisarz przedzwystykiem być powinien, sobą samym — jeżeli posiada jakibądź indywidualizm — uwolnić się od wszelkich wpływów; jednym słowem, zniszczyć w sobie naleciałości obce i dopiero wtemozas zacząć budować na podstawie własnej natury i temperamentu. Zapewne, łatwiej dawać rady, niż je wypełniać, ale jest to rzecz niezawodna, że życie dostarcza bardzo wiele budulcowego materiału każdemu pisarzowi i staje się często nie-

widzialnym jego pomocnikiem w pracy. Pisarz musi przetrawić w sobie zdobyte doświadczenie — jest to proces obrobienia, przygotowania, ale choć budować, można użyć tylko tego materiału, który jest, a można go zakryć, uwięzić, ale nie zniszczyć niepodobna. Dzieło człowieka — to on sam. Nie przez to we nie trać, jeśli naprawdę coś wyszuka w nim ślady myśli, uczuć osobistych i ogaćnie epoki, kiedy wykonane zostało. Te ledwie dostrzegł, a jednak często odczuć chce podnoszą niezawodnie wartość samego dzieła, bo zdaje się, że piętno ludzkie głębiej jest na niem wyścisnięte. „Impersonalizm” bezwiednie może chce to piętno zetrzeć w imieniu siły estetycznych wymagań sztuki.

W poezji francuskiej najnowazy zwrot zaznaczył się powstaniem szkoły dekadantów (décadents), której inaczej uważać nie można, tylko jako wynik złoćzenia estetycznego. Znaczenie nazwy łatwo wyrozumieć, ale trudno ją oddać treścią w polskim języku, wolę więc zatrzymać oduzołomską. Jakż jest rodowód tej szkoły? Zbliżyliśmy się do tej chwili — mówi Ch. Ferster — kiedy prosta wiara nie może już na zadołwnić. Francuskie społeczeństwo zużyło w ostatniem stuleciu tyle krwi, tyle sił umysłowych w daremnych usiłowanach, że obecnie podobnem jest do starca, mającego jeszcze poażliwiość wiedzy, ale niezdolnego już do ujęcia prawdy, do wsruszeń naturalnych, prostych; wyczerpuje więc do reszty siły na bezpłodne poszukiwania tego, co może jest nie do zdobyćia, jakichś nowych wrażeń, których rozum i nerwy już nie są zdolne mu dać. Wskutek tego na naszym ciężkim, zamglonym horyzoncie widzimy tragiczny świat pesymizmu. Odczuć tego objawu tak przestraszyli niektórzy umysły, że zaczęły, jak żołnierze w rozrąps, krzyczeć: ratuj się kto może! I rozległ się rozdzierający smutek beztatunkowego upadku.

[Jesteśmy społeczeństwem upadającym — mówiono — bo analiza psychologiczna wykalkatnia nadto nasze umysły, nadto odkryła do żywego dusze, badamy stan patologiczny na sobie; jesteśmy dekadantami, bo żadna ze zdobyćia ludzkości zadołwnić nas nie może i nosimy w sobie rozpaczliwie pragnienie niewiedomego. Wierząc w niezdolność klęcenia się do upadku, prorocy nowej religii, poeci, śpiewają ją nie zwyciężajmy, ale jakimś prawie osobno wymyślonym językiem — bądź dlatego, ażeby zadość uczynić chorobliwej chęci gienienia za nowością, bądź wprost dlatego, aby tłumowi pokazać, o ile oni, jako istoty wyjątkowe, różnią się od niego.]

[Oni to stworzyli sztukę — jeżeli można użyć tego wyrazu — zupełnie nową, poezję, niemającą nic wspólnego ze szkołą romantyczną, która zamierza osiągnąć mglistości formy i niepochoytności myśli jakieś ożyte fizyczne efekty smutku i zniechęcenia. I Poezja dekadantów — tak sami utrzymują — nie powinna być rozumiana, ale odczuć; tego też właśnie szukają ludzie spragnieni nowych wrażeń. Zdaje się im, że pioszczą uszy dźwiękiem słów, oderwanymi frazami, łączeniem apoglosk i samoglosk mniej więcej muzycznym, mogą obudzić wywołaną przezbrzmienie wyrazu myśl wywołaną tym wyrazem. Za pośrednictwem idei, zbudzonych w powyższy sposób, zamierzają wywołać wrażenie łagodne lub przykre.]

Takie pojęcie poezyi nie jest bynajmniej nowe, tylko że najprzód nie nadawano mu znaczenia przeważnego i powtóre nikomu na myśl nie przyszło na takim blachym, estetycznym fundamencie budować nową szkołę. Niekóre cechy poezyi dekadantów odszukiwały się dawno — starano się mianowicie zapoznać muzycznosci dobranych wyrazów charakteryzujących niektóre stany duchowe i wrażenia, ale nie gubiono nigdy

z uwagi myśli. Już Wirgiliusz nasładował tętent kopyt koniskich za pomocą odpowiednio dobranych wyrazów i nasi tak zwani klasycy roili na to same tematy. Było to jedynie zabawka, próba — niczem więcej.

Utośsamiają niejako poezję z muzyką, nie można do pewnego stopnia zaprzeczyć słuszności w określeniu poezji dekadentów. Pierwsza piosenka dźwięta tak, jak druga: więcej na nerwy, niż na serce i głowę, ale to nie wymaga wcale ujęcia naciąganych wyrazów lub łączenia ich w sposób wyszukany. Można być zrozumiałym, nie przestając oddziaływać na uczucie; dość przytoczyć Shelley'a lub Sally Prudhomme'a w Francyi.

Oo do formy, dekadenci uprawiają rozmieszko bezwarunkowo szkodliwe dla literatury francuskiej, chociaż przynoszą jej nieco własnych zdobyczy: wzbogacili poezję kilku nowymi rytymami, zastosowali formę starej piosenki francuskiej, zmusili pisarzy ścisłych nieco sposób wyrażania się, okiełznali natchnienie nadto samowolne i pamięć o artyzmie, często zapominanym. Ale ich innowacje — według Ch. Fustera — wstrętne są charakterowi francuskiemu, który lubuje się we wdzięku doskonałym, w pięknie skończonym, w pewnej ekromności, czystości tonów i linii. Dotychczas Paweł Bourget, jak się zdaje, sam jeden namietnie upaja się to nieokreślona melancholia społecznej poezji angielskiej. Poetę dekadentów jeszcze bardziej nieokreślona i melancholijna, jeszcze bardziej rozczarowana, osłabiona, budząca i odurzona, nie może zaspokoić społeczeństwa, czującego potrzebę ścisłości, światła, jasności rozspiciającej się szeroko.

Jeżeli od formy przejdziemy do treści, znajdziemy jedno uczucie — zniechęcenie. Nie idzie tu wcale o jakies cierpienia — boleść może być wymowna, zachwycony wybuchem, energią przekształcony i skargi; w poezji dekadentów dostrzegamy tylko zniechęcenie do czegoś, co oni nazywają upadkiem. Wszystkie w nich jakies smutne, gorzkie, nawet rozkosz życia. Dla nich niema nic nowego, a raczej oni nie spostrzegają nic nowego — i to ich przynajmniej; nerwy mają rozstrojone, serce wyschłe, rozum chory, uczucia opływające bezwładnością, zmęczone na służbie woli. Nie są zdolni nawet do wstrząsów miłości, zrywów, mądrości, pragnień sławy, zachwytów i podziwiania. Inni śpiewają, płaczą, żyją, kochają, cierpią — oni są jednakowo zmęczeni. Nie też dziwnego, że przestrastnią swoją wrzaskową boleścią, opłanowią przestraszem o jutro, które ma być bezbarwem i nudnem jak wczoraj, niedolną siłą moralną okiełznać nieposłuszną woli — prorokują błądą żorze upadku.

Żorza ta nie świta jeszcze. Z powodu kilku umylań chorych, kilku wybitnych wprawdzie, ale odosobnionych wypadków patologicznych, nie mamy prawa jeszcze wątpić o przyszłości. Ruch nihilistyczny, występujący w największych prądach literackich, zakończy się powrotem do uczuć prostych. Po tylu obserwacjach szczególnych, po takim rozczłonkowaniu biednej duszy ludzkiej, po tej melancholii, rozciągającej się mgłą nad wolą jasnymi myślniami — musi zapanować znówu dzień jakiś pogodniejszy. Ob. Fuster twierdzi nieco ryzykownie, że dziesięć lat nie minie, a zaczniemy sadzawać się życiowi prostom, szczerom, naturalnem; ludzie ohećniej będą kochać, niż badeć lub odrzucać miłość, ohećniej praocować, niż poddawać wątpliwości pożyteczność pracy; będą myśleć, zamiast wykazywać nicosé myśli. Wszystko, co umiera, odrodzić się musi, tak samo odrodzić się musi zdrowie moralne społeczeńści.

Ostatnie wywody autora nasmawia myśl inną; czy optymizm nie jest także chorobą, czy nie usypia życia, zamiast go budzić, nie

zamyka oczu, zamiast je otwierać, a fałszywą lub przesadzoną nadzieją i wiarą nie robi więcej złego, niż dobro?

F. Rawita.

ZMIENIONE CZASY.

Zygmunt Kaczkowski: *Abraham Kitaj*, powieść z czasów króla Jans. II tom. Gebethner i Wolff.

Kiedy po długoletniej przerwie w działalności pisarskiej Kaczkowski zjawia się w *Gazecie polskiej* powieść jego p. t.: *Graf Rack*, oczekiwania czytelników, którzy zachwycali się kiedyś utworami tego autora, lub na wiarę krytyków uwielbiali jego talent — zawiązdom zostały zupełnie. Powieść nie podobała się nikomu; nawet łaskawa dla znakomitego pisarza krytyka zawyrokowała, że talent jego osłabił. *Taka Nieczuła* dowiodła jednak mylności tego zdania. Obecnie Kaczkowski napisał nową powieść historyczną, wymienioną w nagłówku, którą drukował *Kurier warszawski*; ale czytelnicy, chociaż teraz nie oczekiwali już rzeczy nadzwyczajnych, rozczarowali się znówu i głos ogółu, o ile go usłyszeliśmy, twierdzi, że *Abraham Kitaj* jest utworem miary średniej, nawet słabym. Tymczasem powieść bynajmniej nie gorzej od większości poprzednich dzieł Kaczkowskiego, a od niektórych chwytliwych niegdyś i gorliwie czytanych bez zaprzeczenia lepuza. Jakież więc przyczyny spowodowały ten wyrok nieprzychylny, jeżeli talent autora nie osłabił wcale, ani nie uległ żadnym zmianom? Sądzę, że po prostu zmieniły się wymagania czytelników, którzy od powieści historycznej sądzą dziś tych zalet artystycznych, jakich Kaczkowski nie posiadał wcale i nigdy nie posiadał.

Piękny, silny język, zbliżony do najlepszych wzorów starożytniej polszczyzny, dokładna znajomość przeszłości, zwłaszcza strony jej obyczajowej, bogactwo szczegółów charakterystycznych, zacierpieniami przeważnie z tradycji ustnej — oto przymioty jego utworów, którym brak natomiast tej plastyki opisowej, jaką celuje Sienkiewicz i tej zręczności układu, trzymającej w napięciu ciekawosć czytelnika, zręczności, którą posiadał np. Dumas ojciec. Tymczasem to właśnie warunki konieczne są dzisiaj dla powodzenia, gdyż o realne odtworzenie czasów minionych kusić się niepodobna. Największy talent nie zdoła przedstawić dokładnie charakteru tych ludzi, bo go nie zrozumie, ci przedkowie nasi inaczej czuli i myśleli, niż myślimy i uczujemy. Intuicyj stworzyć to może wiele, ale i jej zakres jest ograniczony. Niektórzy sądzą, że dosyć, aby powieść odtwarzała to ogólne dąwnej epoki, charakter jej, jak mówią jedni, lub ducha, jak chcą inni. Nie jest to jednak zadaniem powieści, która przedewszystkiem z ludźmi winna mieć do czynienia, ale rozprawy historycznej, która się lepiej z tego wywiąże. Jeżeli tak, to właśnie Kaczkowski mogłby nakreślić taki obraz, a jednakże i on w ostatniej pracy swojej, czując, że w utworze artystycznym w zupełności tego zrobić nie można, daje w ostatnim rozdziale krótką rozprawę o stosunkach politycznych i społecznych Polski za panowania Jana Sobieskiego.

Nieraz krytyka czyniła uwagę; która i do *Abrahama Kitaj* zastosować można, że postacie podrzędne, zwłaszcza zaś osoby z ludu, lub wogóle z niższych warstw społecznych, rysowane są w powieściach historycznych dokładniej, bardziej wyraziście, aniżeli bohaterowie główni i dziejowi. Zadać mi się, że rzecz ta wytlumaczyć można łatwo: życie ludzi i tych klas społecznych, które stoją na poziomie niewiele wyższym, ulega zmianom bardzo powol-

nym, trafiają więc obserwacya osób żywych i stosunków obyczajowych bliższych wspiera intuicję lub nawet zastąpić ją może. Kasztelan Fredro z czasów Sobieskiego i potomek jego, znankomity komedjopisarz, różni się pomiędzy sobą nie tylko właściwościami osobistymi, ale także jako dwa odmienne typy historyczne; tymczasem potomek ubożego szlachcica szanckiego mógł jeszcze, zwłaszcza za czasów młodości autora, różnić się niewiele od swego pradziada, a potomek żyda Dyma nie odstępuje dziś prawie wcale od swego protoplasty, jeżeli mieszka w granicznej górskiej miejscinie i podobnie jak prodek jego handluje i pożywa szlachcie pioniado. Wigo też i w powieści Kaczkowskiego osoby, zajmujące stanowisko naczelne w ówczesnem społeczeństwie i w utworze, nie wyliczają nawet głównego bohatera, zarysowany się słabo lub zbyt przypomina ją typy dziejsze, podobnie gdy postacie drugorzędne — jak np. bombardier Mleczko, burgrabia Holubowski itd., występują wyraziście i realnie.

Bohater utworu Abraham Kitaj, a właściwie Kaszasz — Kitajgrodzki, to jeden z tych warchołów, których tyłu wydawała Polska szlachetka, zwłaszcza w epoce wcześniejszej niemo, w końcu XVI i początkach XVII stulecia. To nieodrodny brat Zborowskich, Łaskich, Wiśniowieckich, których natura burzliwa pedziła za granicę ojczyzny do Zaporozża, Multan, Siedmiogrodu, gdzie urządzali wyprawy łupieżcze, wicbryzy, zmieniali ksiądz i gospodarów, a zazwyczaj gineli marnie. Czasy, w których żył Kitaj, były już inne, więc też i warchołstwo jego więcej podobne do prostego rozboju, zresztą, jak sam on trafiało mówić, między rycerzem takim a rozbojnikiem, różnica bardzo subtelna, — w danym zaś razie polega na tem, że działalność jego rozwija się na większą skalę, ale nie z braku chęci lub fantazyi, tylko wskutek okoliczności. Z Abrahama Kaczkowski nie zrobił romantycznego bohatera, chociaż pewna czynność z tego junaika przebiega mimowolnie; owszem, zgodnie z prawdą dziejową zrobił go choćwim na łup i ton rys charakteru silnie uwytłumił. Borowski, szlachcic-reformator, ogłoszony przez współbraci za waryata, polityk i filozof polskiego tytu, bogobojny i uosowiwy, demokracja umiarkowany, cieszy się widocznie względami Kaczkowskiego, czemu nie dziwić się wcale, zasady jego podobne są zupełnie do poglądów autora *Teki Nieczuły*.

Trzeci utworu podawać nie będziemy, zaznaczyć trzeba tylko, że w wielu szczegółach przypomina ona inne powieści Kaczkowskiego. Sam Kitaj podobny jest nieco do *Murdeliona*, szlachcico również pojeżdżający go, że ma do czynienia z dyabłem. Szlachcico ci: bombardier Mleczko, stary Holubowski, Mruk, zapalniają najlepsze stronnice powieści. Szczególniej udat się autorowi Mleczko, typ nakreślony bardzo oryginalnie, nie według szablonu, przy pomocy którego rysują zwykłe żołnierzy w dawnych powieściach. Słynny wyga, choćwim na groź, pijak, odważny w potrzebie, ale nie mający bynajmniej ochoty do zapasów bojowych, posiada słabość uchodzenia za uwodziciela. Pyszna jest scena, kiedy ten siwy gach spowiada się księdzu, że uwiodł dziewicę, którą teraz urodziło się jej dziecko. „Hłaziel — krzyknął ksiądz — tumanisz ludzi, siedząc w twoim bastyonie, że niby broniś granic, a teraz mnie chcesz także okpić. Ruszaj do domu i kaź przyjeźdź do spowiedzi twoim drogocnom.” Najlepiej wychodzi sceny pijackie, które zawsze Kaczkewski kreślił wyraziście, i w Kitaju jest kilkanaście takich z tymi rodzajowymi obrazkami — jak np. scena leczenia się starosty Dzieraka od podagry. Stary pijak siedzi w krześle z nogami, owiniętymi kocem i łyka wodę; na przeciw zaś niego kilkunastu bernardynów

śpiewa pieśni pobożne, odwołując się do siebie po każdej zwrocie kielichem wina. Leczenie trwa dopóty, dopóki ostatni bernardyn nie padnie na ziemię; wtedy starosta upewniony, że podgrza wzięła miodem w nogi, wstaje i zaczyna chodzić.

Bogactwo i dokładność szczegółów, wyborna znajomość nietylko dziejów kraju w danym okresie, ale i dziejów danej miejscowości, w której rzecze się odbywa, znającość taka, że nawet w pokrzyżowanych stosunkach rodzinnych autor nigdy się nie pomyli, piękny język, niezaprzeczony talent pisarski, umysł szeroki, wreszcie wspomnienie sławy, powszechnie ogłoszonej przez krytykę — wszystko to nie zapomniała ona wśród ciekawych współzawodnictwa z *Potopem*, którego autor za przesłone bardzo pobieżnie i to tylko ze strony zewnętrznej, pisać pięknie, ale dorywczo, treść utworu urozmaica bardzo mało, opisując przeawienie bitwy, używa często efektów oklepawych — ale pociąga czytelnika olbrzymim talentem opisowym, który okupuje wszystkie braki. Talent Sienkiewicza bardziej współczesny, lepiej odpowiada wymaganiom estetycznym publicności, to też wywołuje często nawet przesady zachwyt, kiedy Kaczkowskiemu dostaje się tylko albo obojętne umikanie, albo nawet nagana niesłuszna. Niesłuszna, bo talent jego nie osłabił i nie zmienił się bynajmniej, zmienił się tylko gust czytelników.

W

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Słowny tchórz. — Odrza do sztandaru. — Ojczyzna mroków. — Zamknięcie drzwi uniwersyteckich przed kobietami. — Kому nauka niewiedza szkodzić może. — Wojna wszystkich z wszystkimi. — Kultura i młodzieńcza naiwność. — Losy bibliotek prywatnych. — Konieczność polotenia. — Śmiech obecny i przyszły.

Liczybnym, liczebniejszym, niż niejedyn uczonej, wspomnień pogonnych doczekał się biedak, który podczas wojny francusko-pruskiej dostał „febrę armatniej” i zbiegi z pola bitwy, za co przez wojenny sąd pruski skazany został na więzienie i jako żałośny pokutnik umarł. Tchórzostwo jego stało się tak sławnem, że wszystkie dzienniki donosiły światu o śmierci uokieniera. Pojmując najzupełniej chęć wysuszenia głowy z petlicy, której ktoś dobrovolnie sobie nie zadziernął i przez którą przezmęknąć się trudno; ale doprawdy nie daliśmy się tegoczesnemu niemowli, gdyby zmykał z szeregów bojowych nie pod wpływem twrogi, ale odrzady od sztandaru. Bo proszę mi powiedzieć, co tego niemola, jeżeli on nie jest żywym karabinem magazynowym, napełniona dumą, zapalem, gotowością do ofiary z życia? Mocna pięść i w niej maczuga krzemienia nie obita? Na to trzeba mieć dżikie popędy tautondów. Można kochać mądrość, cnotę, wreszcie niedole swego narodu, ale niepodobna kochać jego poddańczości i wyzkania się cywilizacji. Obecna zaś Niemcy, jeżeli dalej pójdą, w kierunku wstępnym, cofną się same i zaprowadzą świat do tego okresu, w którym ich przodkowie obcinali nosy żąłującymi tabakę i mężnie opierali się wprowadzeniu kartofli. Z mijającą, z którego na ludność tak długo spływały strumienie światła, teraz spadają tylko czarne mroki. Od lat kilkunastu ży dwóch niemiecki kraj Europy i stwarza przykłady barbarzyństwa, oświećcie nasładowanego. Niemal każda zmora, jaka nam ciąży na piersiach, tam się wylega. Stam-

td widmo reakcji strasy narody swojem dziękem obliczem i rozpociera noc wokół. I oto zaszeleścił nowy szmat tej nocy: rząd pruski zabronił kobietom wstępu na uniwersytety. Pruski — to znaczy: niemiecki, bo reszta niepodległych królestw i księstw istnieje tylko jako muzeum starożytnych zabytków niezaleźności i swobody. Uprzytomnijmy sobie pierwsiaki moralne tej orszekującej atmosfery końca XIX w. naród wielki zagryza kłosa, bogaci — ubogich, chrześciance — niechrześciance, synowie jednej rasy — synów drugiej, brat — brata, mężczyzna — kobietę — tu słychać szczeni polaków, tam niemców, włochów lub francuzów, tam żydów, tam znówu katolików, słowem w tej walce wszystkich przeciw wszystkim gną najświętsze uczucia i zasady, tak że nie wiadomo już zupełnie, csem ludzkość jeszcze się trzyma. Dziś można czytać Machiavella bez zgory i Hobbesa bez gniewu — dziś etyce ogłoszono upadłość, bo całkiem straciła kredyt. I jeżeli — jak przy wielu podobnych wypadkach — zapytamy: co rządowi sąkodziła wyższa nauka kobiet — nie otrzymamy żadnej innej odpowiedzi, prócz powołania się na regule: *si uolo, si iubeo* — tak chce, tak każe. Przychliż już obecnie baluśmia wiska, ale trwają dotąd spory o prawa i uzdolnienia niewieście. Uzdolnienia to objawiały się w bardzo szcuplej zakresie i dość niskim stopniu — można więc o nich wątpić lub nie, można żądać stanowiska Milla, Buckla lub Bischoffa i Schopenhauera z większą lub mniejszą słusnością. Więcej powiem — bez narazenia się na śmieszność i wawrzyn kretynizmu można ograniczać prawa kobiet w służbie publicznej, ale odsunąć ich od nauki najwykrętniejszą logiką nie dostarczy usprawiedliwienia. Przeciwnicy emancypacji w tym kierunku posługują się bezczemem i gwałtem. Mają oni tysiąc stawideł dla zatamowania upustów niedoleżeniu, mają tylż próbować dla sprawdzenia sił umysłowych każdego osobnika — i zamiast pozostawić bez wyniku swobodnej próby, wyrokują bez dowiadów i wydają zakazy bez dowodów. W sprawie uzdolnienia kobiet wolno nam zaledwie orzec, że są one zagadką, ale nie wolno nam wnioskować prawodawco. Kobieta obecna nie powinna głosiwać, zasiadać w parlamencie, w sądzie itd. — no, zgoda; ale czemu nie powinna się uczyć nawet wtedy, gdy z nauki nie wygłanie korzyści równych mężczyźnie? Jaką szkodę najkoszowiejszemu państwu poniesie na, że matka będzie znała chemię, a naręczona — filozofię? Czy im plotu na drodze do uniwersytetu nie grodzi prosta beżmyślność, pragnąca wstrząśnięć i groblami ścieśnić szerszej rozległaj się ruch umysłowy? Gdyby był Drakonen, stręgliwym się przyszanianiu śmieszności: zabroniliby kobietom leczyć, adwokatować, medycynować, ale pozwoliliby im badać medycynę, prawo i matematykę.

Jest to uwierezenia trudnem, jak dalece przykład nadadży samolubnych wa zarzłiwym. Wón przykra ma daleko większą lotność, niż przyjemna. Jedną zechli i gnający kret wiejadu że się cud przechodniwi, niż sto filjoków. Podobnie dzieje się w sferze moralnej. Jak odwiat padliny w wieroce się w nos i usta, naniąka włosy i odzież dżółwieka, tak wón złego przenika wszystkie pory naszej duszy. Zdałoby się, że jeżeli ludzie ciępią do gwałtu, egoizmu, zaślepienia, przez opór nie powinni być ciemiężycielami, sobkami i fanatykami. Tymczasem — przeciwnie: ofiara zawsze przejmując występkę swego ciemięży z niewolnik jest najokrutniejszym panem. Nie ludzmy się, żeśmy nie ulegli najgłębiejszym prądom obecnej epoki. Gdy zaczęto wyganiać polaków z Prus, zamiast strędzić się wszelkiego przesładowania, w najmniejszym zakresie, zaczęliśmy rozmuchiwać w sobie niena-

wieś do wszystkich żywiołów, niewyrosłych na wspólnym pniu, a t. z. kwestya żydowska przeszła znówu w stan zapalny. Antysemityzm pruski odbił się echem nad Wisłą. Gdy w Niemczech główny maszynista dla kontrpartę i my cofaliśmy nasze lokomotywy. Na wszystkich kolejach jedziemy wstecz. Wyższe cele nas nie wabia, idealne porwy nie wstrząsają, ani wiedza, ani literatura, ani muzy już nas blaskami swymi nie oświecają. Coraz ciśnień zamykamy swój światek, w którym dyszą jakome pragnienia wyrody osobiste. Polakami jak żołwice, zadowoleni, jeżeli po naszej skorupie przetacza się ciężkie koło losu i nie zmiadają jej. *Graviditas* kładzie w usta Bismarkowi następujące wyrazy, wypowiedziane podczas rozmowy z jakimś rusozłozem niemcem: „Wy czytacie swoje niemieckie książki i dzienniki — i zachwycacie się: jakie to wszystko rozumne, jakie godne cywilizowanego narodu. Ja zaś czytam gazetę rosyjską i mówię: jakie to młode, jakie naiwne! Odiożysz gazetę, myślę sobie: co jałbym dał za to, żeby odwrócić od licha Rosyi całą naszą kulturę, byle dostać w zamian jej *młodzieńczą naiwność*.” To coś więcej, niż „królestwo za konia”, bo „cała kultura” niemiecka za „młodzieńczą naiwność”. Bismark mógł tylko słów nie wypowiedzieć, ale jako one są „dobrze wynalazone” w jego stylu! On rzeczywiście lekceważy „kulturę”, nienawidzi jej. Co robią ludzie, słuchające tych złożeń? Nasładowa go i również przeklinają „kulturę”, to miazaninę „wszystkich rozkładowych pierwiastków świata”. A my? Staramy się o „młodzieńczą naiwność” i skazujemy na zagładę „książki”, która, według kancłarza, są przyczyną upadku Niemiec. Ciekawą są tym przedmiocie opowieść zamieszczoną *Gazeta warszawska*, opisującą zniszczenie kilku bogatych zbiorów biblioteczek polskich. Prot Lelewel (brat Joachima) daremnie błagał różne Towarzystwa, oraz „protektorów sztuk i nauk” o nabycie jego książki za 2,000, 1,500, wreszcie za 1,000 rs. Zatykano uszy przed tem wolaniem. „Pewien magnat — mówi gazeta — którego dobra ze swego ogromu weszły niemal w przyszłowie, odrzekł, że *tylże pieniądze* nie może wydać na książki. Na dobitek pewien ex-redaktor i księgarz ogłosił bibliotekę z dzieł najnowszaych.” Część zbiorów po śmierci Prota posłała na sprzedaż w ręce bezpieczne, a część nabyli za bezcen antykwaryusze. „Nie mogę zapomnieć pierwszego wrażenia po zobaczeniu zasypanych bez ładu na brudną podłogę sklepu ksiąg lelewelowskich — pisał autor tego trepu. Podziwuję, że i owa książka, widziś druki Elzevirjusz, Krzysztofa Plantina, Commelina, Ieidensteina, Sebastyanu Gryfa, Opolina, Episkopińska i Guarina itd. Patrzałem na to pod wpływem wspomnień setnej rocznicy urodzin i dwudziestej piątej zgonu Joachima Lelewela, więc przychodźła myśl do głowy, że może nasza społeczność potrzebuje jeszcze dowodzenia, iż biblioteki są potrzebne i pożyteczne, iż część dla zasłużonych jest dodatką i produkcyjną siłą moralną — tak dobra, jak i bodźce materialne. Widok wszakże studenta, któremu rumieniec twarzy oblał z zakłopotania, co najpóźszego a odpowiedzialnego do kieszeni wybrać z tych ksiąg, rzemieślnika, który płacił ciępkę zapracowanemu gromszem za *Pieśni historyczne* Niemcewicz — usunął obawy. Rzecz całą w tem się zamyka, że „zauważyliśmy” i dostatek rzadko chodzą w parze.” *Gazeta* przypomniała historię Biblioteki Handlowej w New-Yorku, która z drobnostkiego związku wyrosła na tak olbrzymią, że dziś wypożycza rocznie 200,000 tomów. W dzisiejszym numerze *Pravdy* znajduje czytelnik inne jeszcze tego rodzaju objaśnienie, z obcych stosunków poczerpnęte, my nad swoimi możemy tylko salamać ręką. Społeczeństwo bogatych, dogodne urządzonej

bibliotek nie ma, prywatnie — idą w powiewie. Szanując bardzo zamiłowanie ludzi do książek, ale wyznając, że „prywatna biblioteka” przypomniała mi domową fabrykę sukna. Cechą naródów słabo ucywilizowanych jest zębrodowanie w gospodarstwie jednostkowym różnych gałęzi środków życia i pracy. Przodkowie nasi miesiwali w domu: restaurację, pralnię, jatkę, fabrykę płótna, sukna, miodu, wódki, octu, szwalnię, kucnię itd. Dziś z gospodarstwa rodzinnego wydzielili się rozmaici zatrudnienia i stonowią osobne rodzaje produkcji, a przypuszczam, że niedługo się one, w którym każdy dla siebie nie będzie prał, gotował itd. Do anachronizmów należą również przybory biblioteczne. Czy to nie cudaczne, asyby całówek, pragnący czytać, kupować setki i tysiące książek za własne pieniądze i trzymać je na składowej, jak sztuki perkalu? Czy nie powinny mu wystarczyć jedynie te nieliczne, których jak szklanki i kubka codziennie potrzebuje? Czy społeczeństwo nie powinno mieć zbiorów książek, jak posiada galerie obrazów, rzeźb, wertwa dla użytku publicznego? Tymczasem wszakże, uwolnieni od wyrabiania piwa, przekazanego browarom, musimy jednostkami silami gromadzić książki, bo inaczej literatura nasza, zamknięta w skarbach, lub stojąca pod sekwestrem, będzie widzialna dla ogółu tylko przez krazy.

Gdybym wyczytał w nasze stowarzyszenia, w które nie wierzę, radziłbym podjęcie starań, które... Doświadczeni śmieją się ze mnie. A jednak w Londynie istnieje nawet „towarzystwo dostarczania kaszki biednym dzieciom irlandzkim”. Prawda, jakie to zabawne! Och, gdybyśmy byli pewni, że za lat sto jeszcze śmieć się będziemy...

Posel Prandy.

NA WIDNOKREGU.

Zbrodnie. — Dłwna pobłażliwość i jej skutki. — Straż ochotnicza w Łodzi. — Tajemnice niemieckie. — Towarzystwo muzyczne. — Rozruchy w Zawierciu.

Ciekawą byłaby niezmierzona statystyka zbrodni w zależności od pór roku. Zagranicą istnieją dane tego rodzaju a nawet komentarze do nich. Nie wiem, jakie rezultaty wypadłyby u nas, ale od lat kilku zauważyłem, że z początkiem jesieni w piśmiech zjawia się zawsze mnóstwo wiadomości o rozmaitych zbrodniach i powtarzają się utyskiwania korespondentów na upadek moralności, słabej represji karnej itd. Gdyby chodziło tu o drobne przekroczenia lub nawet kradzieże w miastach, fakt łatwo dałby się objaśnić. Ale przyczyny ekonomiczne nie tłumaczą, dlaczego np. zwiększa się liczba występów przeciw własności, kiedy w jesieni żywy nie się jest najłatwiej i zarobek cięższy? Zbrodnie są takie, jak mordsterwa, podpalania itp. tembardziej wymagać muszą innego wyjaśnienia. Nawet bandy rozbójnicze zwykle zaczynają działać w jesieni, chociaż w locie hitwiej by im było zbierać się i ukrywać. W powiatach Nowogrodzkiem i Ślucim — jak pisze do *Gazety Rulniczej* p. A. Jelaki — w ciągu krótkiego przebiegu czasu zdarzyło się kilkanaście potrawów wskutek podpalenia. Świadczy to, bez wątpienia, o nienormalnych stosunkach ekonomiczno-społecznych, jak zresztą przyznaje sam korespondent. Na Białej Rusi sprawy wielkie bardziej niż w innych okolicach państwa są zaopatrzane i nigdzie chyba nie ma tylu przestępstw rolnych, chociaż lat tamtejszy uważany był za przynębniony zapłonie, zaburany i potulny. Ten charakter jego bardziej jeszcze świadczy na niekorzyść stosunków miejscowych, straszaniem musi

być położenie chłopu białoruskiego, jeżeli zniewala go do wyjścia z przyrodzonej apaty.

P. Jelaki nie widzi innej drogi ratunku, tylko „wymiarzenie dotychczas tak na zbrodniarzy, co zapewne oznaczać ma jakieś sądy nadzwyczajne, może wojenne. Jest on takim pesymistą odnośnie do ludu, że nawet w sprawie czynszowniczej, chociaż rozstrzygniętej już przez ustawę, pragnął obmyśleć środki stanowcze z urzędu.” Gdyż przecząca, że posiadłość cudzego mienia przybiorze znaczenie rozmiarów „kraj stracił wielko ekonomicznie i społecznie na tem zawahczeniu pojęć o prawie własności.” Nie potrzebuje dowodzić, że kraj ekonomicznie i społecznie uzyskiwał tylko na tem. Gdyby „pożądliwość” czynszowników była zaspokojoną zamiast bowiem głodnego proletariatu otrzymamy taką samą lezbę spokojnych i pracowitych obywateli. Może wtedy zmniejszyłyby się wypadki podpałów i wogóle wszelkich zbrodni.

Jelaki lub białoruski przedstawia p. Jelaki w jaknajgorzej świetle, to nie oszczędza również i inteligencji. Opowiada on nam o obywatelu, który straciwszy milio-nów fortunę, dopuścił się najhaniebniejszych oszustw, lub o innym, który podrobił wekła na żyda. „To wcale nie wyjątek na padole naszego zdeorganizowanego obywatelstwa — dodaje autor — nieradko słyszy się o okropnych sprawach ludzi, nieoglądających się na żadną opinię publiczną, na sumienie i obowiązki, którzy gotowi wszystko podstępem dla zdobycia mamony, lub przez chęć zwierzęcej ucięcia i nadykucia.” I oto ten sam p. Jelaki niejednokrotnie przypisywał niemoralność ludu tej okoliczności, że inteligencja, którą w takich barwach przedstawia, pozabawiona jest możności wpływania na chłopów w sposób uszlachetniający, „ciemną masą.”

Kiedy chłopiekie zbrodnie oburzają naszych moralistów, gromiących zępszość gminu wywonnemi słowy, przestępstwa, spełnione przez osoby z jakichkolwiek względów uprzywilejowane, ciesząc się ojcowiskiem pobłażaniem. Oto np. *Kuryer rolniczy* opowiada, że w pewnym majątku, w okolicach Warszawy, rzadca, rogniewawczy się na parobka, uderzył go w głowę praską do przyczyskania papierni a na miejscu zabił. „Czy to potrzebne?” — ładnie upomina winowajcę kronikarz piśma. Rzeczywiście, czy to potrzebne uderzyć się tak gułowem, żeby potem za zabicie jakiegos obama porządnym człowiekiem szedł do kryminału? Ciekawa rzecz, jakby upominali kronikarz *Kuryera* rzadcę, gdyby ten uderzył parobka ręką lub zęłygi głowicą, za co również niepotrzebnie mógłby odpowiadać. A może to tylko delikatność wyrażen, jaką np. odnacza się *Diennik Łódzki*, który donosząc o jakiejś wariantce, mieszkającej w Rudzie Fabiańskiej, dodaje nawiasem, że ta kobieta ma „szerególną pasję topienia dzieci i rzucania się z nożem na osoby dorosłe.”

Jelaki świadomych i nieswiadomych morderców traktujemy tak grzeźnie, to, doprawdy, nie mogę wymyśleć, w jaki sposób należy np. aypać pana zawiadowcę stacyi w Kuluszkach, który pasażera, pożądanego nieustraszenie osłuszenie szyby, kazał gwałtem przyprowadzić na swój sąd. Spytałbym go: czy to potrzebne wyprawiać takie awantury nawet wtedy, kiedy pasażer jest żydowem, ale nie mogę przecież obrażać człowieka, o którego uczciwości nie mam powodu wątpić, upomniem, skierowam do sąbójcy. Pobłażliwość grzeźna *Kuryera rolniczego* i delikatność *Diennika Łódzkiego* uprawiają mnie wistoty kłopot, chciałbym bowiem właśnie pomówić dziś o kilku drobnych wykroczeniach, a raczej wybrkach i nie wiem, jak traktować ich sprawców, żeby nie obrazić ich i nie skrzywdzić stosowaniem nieodpowiedniej miary do tych czynów.

Chociaż Łódź nazywa się „Manchesterem polskim” i jest rzeczywiście wielkiem ogniskiem przemysłu i handlu, panują tam jednak obyczajne patryarchalne. W dniu świąteczno-urzędny począwszy wydają korespondencje tylko do godziny jedenastej rano. Kiedy termin ten zbliża się, urzędnik każe zamykać drzwi i nie wpuszczać nowych interesantów. Dotąd jest on w porządku, ale i takiej pracy nie pozwala nikogo wypuszczać, dopóki nie załatwi ostatecznego interesanta? Publiczność szemrze i gwoia się, ale wielobliwi porządku głuchy jest na wszelkie przedstawienia i próby, wiezi on nieraz biednych odbiorców listów przez godzinę. Czy to potrzeba, przepraszam, czy to konieczne — jeszcze nie — czy nie możnaby urządzić wydawania listów w ten sposób, żeby interesanci nie tracili tyle czasu?

Istnieje w Łodzi ochotnicza straż ognio-wa, która, oprócz głównego swego zadania, spełnia również funkcje miejscowego parlamentu, zwłaszcza teraz, kiedy na posiedzenia oddziału Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu zbiera się tylko trzech członków. Otóż straż ta, która nie tylko broni miasta od ognia, ale i odrębności niemieckiej od szkodyliwych jej wpływów, posiada wśród swych członków ciekawe okazy. Na ostatnim zebraniu pewien niemiecki, oburzony tem, że prasa „plami dobre imię” strażaków, wymieniając ich nazwiska z powodu różnych zła, jakie zdarzają się przy gaszeniu pożarów — sądził, aby straż ognio-wa nakazała dziennikom milczenie. Gorący niemiec tak rozgorzał zapalem, kiedy mowę jego współtowarzysze przyjęli hucznymi oklaskami, że w zapamiętaniu swojem doszedł do zbyt wysokiej temperatury nierozsądku i bezsensowności. Na szczególne znalazł się właśnie w zebraniu „wodniczy” p. Wisniewski, który pło-nącego bohatera oblał strumieniem zimnej rozżar, dowodząc mu, że straż jest instytucją publiczną, na którą społeczeństwo ponosi wydatki, co daje mu niesprzeczono prawo krytyki i kontroli.

Nie dziwnego, że niemiecy łódzcy tak nie lubią jawności, mają bowiem do ukrycia wiele spraw nieczystych. Nie będę tu razem mówił o stosunkach przemysłowo-handlowych, ale zaznaczę fakt, opisany przez kronikarza *Diennika*, fakt, który podobno powtarza się często. Młoda dziewczyna z Warszawy wozwana była na nauco-ciońskę do Łódzi, ale przybywszy na miejsce, znalazła się w „penyancynacji bez języków starożytnych.” Szczęśliwie udało się jej uciec z domu rozpusty, inne wszakże, oszukane niekiedy dziewczyny ugryzły w błocio, z którego wydobyły się nie miały czy to siły, czy sposobności i ostatecznie pogodziły się z losem.

Rospusta rozpociera się w Łodzi coraz szerzej i występuje coraz jawniej, nieznajdując żadnego przeciwdziałania, bodajby nawet ograniczeń policyjnych. Ludzie, znający dobrze stosunki miejscowe, opowiadają straszne rzeczy o zępszości obywateli, którzy toczą moralność ludności w dwójki sposób: bądź nurtują tajemnie, bądź też nagrywając się bezczelnie a wymagając przystożności publicznej. Prostytucja istnieje tu w rozmiarach takich samych, jak w najbardziej osławionych siedliskach nierządu — np. w Lille lub Manchesterze. Tingle-tangle, knajpy z arfikami i śpiwaczkami niemieckimi spotykają się na każdym kroku, rozwiązując jawnie zgorszenie. Tajemnice tej ohdy oczekują światła dziennego, w którym ukazywałyby się w obrzydliwej, ale pouczającej nagosci.

Mają niemiecy i inne jeszcze sekrety. Trudno przypuścić a jednak jest to faktem, że przymusowo niemienie ludności polskiej odbywa się u nas w niektórych miejscowościach nie gorzej, niż w Poznaniu. W Łasku mieszka pastor, gorliwy krzewiciel niemocyjny, który przy ochrozie zmienia samowolnie polskie nazwiska

dzieci na niemieckie. Dziecko Słowickiego zapisane zostało w matryce pod nazwiskiem Nachtigall, dziecko rodziców Cepów otrzymało nazwisko Flegel, Frankowskich — Franck. Pomimo protestu ojców i matek nadżycia tego rodzaju piktazją się nieustannie, nie znalazł się nikt jednak, który przekonał wielobelnego pastora, że zmienianie nazwisk w aktach urzędowych prawa naze karze bardzo aurowo. Kiedy obecnie sprawa ta ujawniona została, spodziewać się należy, że władze zechcą zbadać ją dokładnie, bo jest to ich obowiązkiem.

Z powodu tej wiadomości *„Dziennik Łódzki“* zamieścił inny jeszcze objaw germanizacji, chociaż już mniej ważny, bo dotyczący nazwy ulic. Łódź w ostatnich czasach rozrosła się szybko, powstały nowe dzielnice, którym urzędowo doteychczas nie nadano nazwy, niemcy tymczasem ochrzczili je na swój sposób: *Spinn-Linie, Böhmische-Linie, Waldschlochen, Neudorf* itd. Samozwańczo te nazwy używano są nie tylko przez prasy miejscowe niemieckie, ale figurują nawet w aktach urzędowych. I temu nadżyciu wypadłoby jaknajrychlej kres położyć.

Niemcy w Łodzi posiadają kilka *vereinów*, licejczych setki członków, polacy nie mają są żadnego miejsca wspólnych sebran, chociażby dla rozrywki. Kilku ludzi dobrej woli podało projekt założenia Towarzystwa muzycznego, które nie byłoby nawet wyłącznie polskiem, ale przynajmniej nie byłoby też wyłącznie niemieckim. Odpowiednią ustawę przygotowaną, ale doteychczas nie podano jej do zatwierdzenia władzy, tymczasem trzeba się spieszyć, bo chwila bieżąca jest najwłaściwszą dla tego rodzaju starań, może są one przejęte rzytło, kto wie nawet, czy bodaj już nie przeszedł.

Rozruchy skierowane przeciw żydom ustaly w ciągu dwóch lat ostatnich. Obecnie wybuchły one w Zawierciu, ale skończyły się prędko i nie przybrały szerszych rozmiarów. W kilkunastu domach robotnicy wybili szyby oraz zranili trzech żydów i dwie żydówki.

Zajęcie powyższe wynikało, jak donosi *Warsz. Dziennik*, z tego powodu: W Zawierciu aresztowała policja młodego człowieka, ubranego jak zakonnik, który wzbudził podejrzenie, iż udaje księdza, dla łatwiejszego wyłudzenia pieniędzy za obrazki, kupiono jakoby w Częstochowie. Młodzieńcze nie zeznał, że jest bractwiskiem z klasztoru bernardynów w Krakowie, lecz nie mógł należeć do żadnego z nich. Następnie kiedy aresztowanego prowadzono do sądu gminnego, dla odstawienia go do Bendzina, tłum żydów otoczył policjantów, nagrażając się w złości i urągając jego księkiej sukni. Obrzuty to robotników-katolików, którzy z powodu święta przechadzali się po ulicach, wzeszły się z początku spór, a potem bójka, która skończyła się, jak powiedział wyżej.

W wypadku powyższym żydzi całkowicie przypisali muszą winę samym sobie. Postępowanie ich było naganne pod każdym względem. Okazali bowiem fanatyzm, ciesząc się z poniżenia przedstawicieli religii obcej, urągali cudzoziemcom niebezpiecznie, wreszcie popełnili nieostrożność, której pod groźbą strasznego katastrofy uniknąć winni. Wobec rozbudzenia namiętności rasowych, postępowanie winni bardzo oględnie, ustępować tam nawet nieraz, gdzie mają słuszność. Przyczyna to rzecz, bez wątpienia, przynajmniej dobrowolicie swoje poglądy wyjątkowo, ale należy liczyć się z faktami istniejącymi. Nie możemy we własnym ich interesie nie wolno zapominać, że iskra nienawiści ku nim tli się pod popiołem uspokojonych namiętności. Iskrę tę w każdej chwili rodmuchać może w płomień wypadek, zia wola pojedynczej oso-

bistości, zbieg wydarzeń lub własna ich nieogledność.

J. Nieborski.

BRITISH MUSEUM.

Jeden z przyjaciół naszego pisma przesyła nam następującą notatkę:

Z polaków, dla pracy naukowej udających się za granicę, rzadko kto przez czas dłuższy przebywa w Londynie; większą część podają do Paryża i na nadzieję tam znaleźć największe środki biblioteczne, najobfitszy materiał do badań. Wyższość jednak biblioteki British Museum nad paryską Bibliothéque Nationale uznaną została przez wszystkich, co tam pracowali, więc warto podać polskim czytelnikom niektóre szczegóły urządzenia tej instytucji, mało u nas znanej.

Początek swój ta dziś obzrymia biblioteka zawdzięcza ochamności prywatnej. Sir Hans Sloane, lekarz królewski, po Newtonie prezes Royal Society zmarł w Chelsea pod Londynem 11 stycznia 1753 r. mając 92 lata, a swój zbiór książek i przedmiotów sztuki, który go kosztował 50,000 funtów sterlingów, oddał rządowi angielskiemu za 20,000 f. szt.; w razie gdyby jego propozycja nie została przyjęta, po kolei miano ją robić Akademii petersburskiej, paryskiej, berlińskiej i madryckiej. Parlament angielski przyjął ofiarę, zapłacił 20,000 f. szt. dzieciom Sloane'a, dodał 10,000 na zakupienie zbioru rękopisów Harleya, postanowił połączyć wszystkie te zasoby z kolekcją Cottona, która od 1700 r. była własnością narodową, i nazwać powstałą całą kolekcję British Museum. Zarząd jej powierzono 41 opiekunom (trustees), z których 6 było przedstawicielami rodziny Sloane'a, Cottona i Harleya, 20 wysokich dygnitarzy państwa i 15 ludzi biegłych, wybranych przez poprzedników.

Dla pomieszczenia zbiorów zakupiono za 10,000 f. szt. Montague house na Russellstreet, wtedy na krańcach miasta położony. Muzeum zostało otworem dla publiczności w r. 1759 15 stycznia i składało się wtedy z trzech oddziałów: książek, rękopisów i historii naturalnej. Dopiero w XIX wieku ilość osób odwiedzających zaczęła się znacznie powiększać:

Od maja 1807 do maja 1808	13,046 osób
„ marca 1817 „ marca 1818	50,172 „
„ Boż. N. 1827 „ Boż. N. 1828	81,228 „
„ „ 1837 „ „ 1838	266,008 „
„ „ 1847 „ „ 1848	897,985 „
„ „ 1850 „ „ 1851	2,827,216 „

Akt parlamentu, ustanawiający British Museum, upoważnił do urządzenia loterii, za pomocą której zebrano 100,000 f. szt. Na zakupienie książek wydawano do końca XVIII stulecia niewiele, zaledwie pięć raz wydatkiem ten przeszedł sumę 400 f. t. Potem wyzafowano:

Od 1796 do 1806 r.	4,401 f. szt.
„ 1806 „ 1816 „	33,173 f. szt. oprócz tego 35,000 f. szt. na zakupienie „Elgin gallery“ marmurowych posągów i zabytków wykopalnych w Grecji przez lorda Elgina.
Od 1816 do 1826 r.	30,583 f. szt.
„ 1826 „ 1836 „	49,434 f. szt.
„ 1836 „ 1846 „	więcej niż 16,000 f. szt. rocznie.
od 1859 r.	21,955 f. szt. rocznie, z których: 10,000 „ „ na książki 2,550 „ „ rękopisy 2,115 „ „ rysunki 3,050 „ „ starożytności.

Z 10,000 f. szt. rocznie wydawanych na książki około 2,000 f. a. idzie na niemieckie, 2,000 na francuskie, 1,000 na amerykańskie, 1,000 na włoskie itd. Każde książki drukowane w Anglii jeden egzemplarz jest bezpłatnie złożony w British Museum.

W ciągu lat od 1823 do 1847 wybudowano gmach nowy z 44 kolumnami jodkami od frontu i z wielką salą okrągłą jako czytelnia. Czy-

telnia ta ma 140 stóp średnicy i 106 stóp wysokości, i posiada największą kopułę w świecie po kopule Panteonu rzymskiego (142 stopy średnicy). Ściany jej są pokryte do 25 stóp wysokości książkami. Niele znajdują się około 20,000 tomów dzieł najwięcej używanych, słowników, bibliografii, podręczników, klasyków it. Te 20,000 tomów zupełnie oddane do użytku ogółu. Każdy może brać dowolnie i her za darmo utrudnić książkę, której potrzebuje. Pomimo tej łatwości zawsze na półkach wzorowy panuje porządek i nigdy książki nie giną. W środku czytelnia ustawiona są szafy z katalogiem alfabetycznym druków, posiadanych przez British Museum. Katalog ten mieści się w 2,000 tomów.

Ilość dzieł całej biblioteki podają na 1,300,000 tomów. Aby dać wyobrażenie o tem, jak obce literatury są uwzględnione, wypiszę niektóre z dzieł polskich. Krzeszewskiego lub o Krzeszewskim jest 132, oprócz tego pod pseudonimem Bolesławity 20 (wliczone w to niektóre tłumaczenia na języki niemieckie, czeskie, francuskie). Z współczesnych pisarzy zauważyłem w katalogu nazwiska: Chmielowskiego, Orzeszkowej, Asnyka, i wielu innych. Także cała biblioteka Turrowskiego, Brockhaus'a, encyklopedya Orgelbranda, dwa wydania słownika Lindego itd. Także i pisma peryodyczne, zaczynając od *Acta litteraria regni Poloniae et magni ducatus Lithuaniae*, z 1757 roku aż do współczesnych. *Biblioteka warszawska* od 1841 roku, wogóle 47 pism polskich wychodzących w różnych czasach w Warszawie, a oprócz tego wiele wychodzących w innych miastach.

Międzynarodowy charakter British Museum przejawia się nie tylko w doborze zakupianych dzieł, ale także w składzie zarządu. Z pomiędzy pierwszych sześciu dyrektorów od 1756—1866 r. trzech było angiłków i trzech cudzoziemców. Obecnie jednym z bibliotekarzy jest też polak, p. J. Naake, bardzo dla rodaków uprzejmy i usłużny.

Praca w British Museum daleko wygodniejsza niż w paryskiej Bibliothéque Nationale: pierwsza otwarta 11 godzin dziennie a druga tylko 6. Książki są przedję podawane i większą ilość na raz można używać. Wieczorem czytelnia jest oświetlona elektrycznie, więcej niż 400 wygodnych miejsc mają czytelnicy. W Paryżu brak katalogu, nieład i nieporządek w wydawaniu książek, brak wielu dzieł najważniejszych nadzwyczajną pracę utrudnia. Dlatego też wszystkim, którzy chcą zebrać obfity materiał w jakichś przedsięwzięciu naukowym, gorąco zaleć można, aby zamiast do Paryża, wybrali się do Londynu.

W. L.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opłata wpisów szkolnych już się rozpoczęła. Biednych uczniów, którzy nie mogą jej wnieść i liczą na miłosierdzie publiczne, polecamy dobremu sercu przyjaciół naszego pisma, tak chętnie i szczerze opatrujących tego rodzaju ubóstwo.

Czako prawdziwie a wielce miłe puściła w świat księgarnia Gebethnera i Wolffa. Jest to *Pan Tadeusz* w młem, odnowionem i gustownem wydaniu. Należała się arcydziełku Mickiewicza i ta wytworna szata, w którą przybrało już u wielu wszystkich wielkich pisarzy zagranicznych. Korekta staranna, druk czysty i wyraźny, papier dobry, oprawa piękna, a wszystko wyszło z Krakowa, ale z Lipska od Brockhaus'a — jak zwykłe u nas bywa.

Rady dla młodych mełetek — praca d-r J. Stelli-Sawickiego, wyszła w trzecim wydaniu. Pisaliśmy o niej szczegółowo, gdy ukazała się po raz pierwszy, trzecia edycja przekonawo, że *Rady* znalazły szerokie zajęcie.

Prasa. *Fortuna* urodziła *Figurę warszawską*, z *Figurą* są narodził się *Głos*, z którego grono ludzi, nie mających dostatecznego zajęcia w pismach obcych, chce zrobić ogół samodzielną. Ponieważ wskazywał usłuszenia dla reżyi bytu, prospekt jest tylko nie we wszystkich punktach zgodną, przerobką istniejących pism postępowych i dowodzi raczej potrzeby

nowego organu dla kilku literatów, niż dla społeczeństwa, przeladowanego wydawnictwami jednorodnymi. Przedsięwzięciu temu ma przewodniczyć p. Kiersz, w literaturze wcale niezłany.

Nowe wydawnictwo. Redakcja *Hodowcy* wydawać ma *Encyklopedję rolniczą*, będzie to właśnie uzupełnienie poprzedniej, w którym zawarte będą wszystkie zmiany i ulepszenia, dokonane w rolnictwie w ciągu lat ostatnich.

Bibliografia. X. G. G. *Antek urlopnik*, powieść ludowa. Warszawa.

— Aleksander Mańkowski: *Minowski*, komedia w 4 aktach. Warszawa.

— X, G. Grabowski: *Słowa prawdy o papierosianej
szkodzie i o niimfaturie*. Warszawa.

— Michał Krzemień: *Józio Mularczyk i ks. Jan Bo-*
sko. Warszawa.

Cholera. Wobec zbliżania się epidemii cholery ku granicom Królestwa i gubernij południowo-zachodnich, zaprowadzona została rewizja lekarska osób przybywających z zagranicy, na wszystkich komorach przy granicy austriackiej i rumuńskiej.

Matejko wykonał nowy obraz, przedstawiający Bohdana Chmielnickiego w chwili, kiedy składa przysięgę na wierność Rosji.

Bank wrocławski w trzech guberniach południowo-zachodnich wydał pożyczek na kupno ziemi 2,831,494 rs. włościanie zaś dopłacili 915 125 rs.

Okrutny pomysł. Zarząd ogrodu Saskiego w celu zapobieżenia, aby psy nie przełaziły między kratami, polecił zrobić siatki druciane, które bez żadnej potrzeby zaopatrzone ostrymi szpicami. Widocznie chodził nietylko o to, żeby nie wpuścić psów, bo na to siatka wystarczy, ale żeby i kazać zwierzęta. Ostre szpice mogą również kazać ludzi, zwłaszcza w razie natłoku publiczności na trotuarze obok kraty.

Napływ młodzieży. Do Instytutu technologicznego w Petersburgu na 160 wakansów było 440 kandydatów, do Instytutu Inżynierów komunikacji na 60 miejsc — 183, do szkoły telegraficznej na 26 — 187.

Wystawa koni z całego państwa rosyjskiego odbędzie się w roku przyszłym w Petersburgu.

Pod pregiarzem. W rubryce tak tytułowanej *Tydzień* piotrkowski umieszcza hrabiego Potockiego, który przegrał w Wiedniu 400,000 złr. i hrabinę Bułińska, która majątek swój sprzedała dobrowolnie komisji kolonizacyjnej w Poznańskiem.

Kolonizacya. Świat donosi, że do Władystoku przybył pełnomocnik polaków wygnanych z Prus, p. Matuszewski, ażeby wybrać grunty dla przesiedlających się nad Amur kolonistów. Podobno zamierza się przesiedlić 9 000 ludzi. Ziemię dale rząd darmo.

Tańszy robotnik. Fabrykanci Łódzi zauważywszy, że w Warszawie łatwiej jest znaleźć robotników i że najem taniej kosztuje, przenoszą tutaj przedsiębiorstwa, a nawet i warsztaty (kackie).

Wzrost człowieka, według obserwacji prof. Marnela, podlega zmianom w ciągu dnia, mianowicie wieczorem zmniejsza się. Różnica bywa czasem dosyć znaczna, wynosi bowiem przeszło 5 centymetrów (?).

Projekt ustawy hipotecznej dla Cesarstwa wniesiony będzie w listopadzie do Rady państwa.

Gielda rolnicza. W Warszawie ma być utworzona giełda rolnicza z filiami na prowincyi dla ujawnienia listowej podaży zboża, pośredniczenia w sprzedaży, oraz uregulowania i sumiennego notowania cen. Ostatni ten punkt nabiera wagi wobec nowego wykrycia *Wiek*, który dowiódł, że *Gazeta handlowa* podaje znowu nieprawdę, że ceny niższe, przez co naraża rolników na straty.

Monopol tytoniowy ma być podobno wprowadzony w Cesarstwie i Królestwie. Dla zapoznajania się z urządzeniami tego rodzaju w Austrii, Francji i Włoszech, ministerjum skarbu wysłało kilku urzędników za granicę.

Wynalazek. P. Kazimierz Sosnowski w Paryżu wynalazł nową baterję elektryczną, która przewyższa siłą wszystkie dotychczas znane, jest zaś od nich o wiele tańsza.

Zmarli. Ignacy Rogala Iwanowski, b. profesor prawa międzynarodowego w uniwersytecie petersburskim, wykładał również prawo państwowe w liceum Aleksandryjskiem i w t. z. korpusie morskim. Pisał głównie po rosyjsku; po polsku tylko drobne artykuły.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. R. w Przasnyszu. Obu przymłotów żadna nie łączy. Najobszerniejsze Wiszniewskiego, Maciejowskiego [niepokonane] i Zajączkowskiego, najlepsza Kulickowskiego. Po polsku całkowicie i dobrej historii powszechnej nie mamy; dla starożytności i wieków średnich podręcznik Korzona.

P. Helenie Z. Wylóżnę tu całego szeregu dzieł nie
możemy. W przygotowywaniu przez nas do druku ka-
talogu dla samouków znajdują panie odpowiednie waka-
zówki.

P. Ad Nie lub. Jest to gawęda możliwa w liście przyjacielskim, ale nieodpowiednia do druku.

O g ł o s z e n i a.

Courbevoie, dnia 23 września 1886 r.

Kurier warszawski pomieścił najprzód ogłoszenie platne o cywilnym pogrzebie Matyldy z Koelichenów Rudzkiej, potem zaś nazwał ją sprawiającą smutne wrażenie manifestacją, dodając prztem parę szczegółów z rozmowy, podchwyconej w kapturze własnej redakcji.

Jako wykonawca ostatniej woli zmarłej mej matki zawiadomilem redakcję *), że cywilna forma pogrzebu i takież o niej ogłoszenie były zastrzeżone ostatnią wolą zmarłej, i proszę o stosowne sprostowanie. Ponieważ mi takowe odmówiono, smuszony jestem przeciw takiej *Kuryera warszawskiego* zaprotestować i także zająć odciać pod sąd opinii publicznej. Niech ona sędzi, kto się *nieprawdliwie* zamianistował, czy *Kurier* swoją *prawdziwością*, czy ja po-

*) List mój do *Kuryera warszawskiego* dnia 8 stycznia z Vichy brzmiał dosłownie tak:

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kuryerze warszawskim* z dnia 21 lipca r. b., czytałem komentarz od Redakcyi do nekrologu, umieszczonego w przeddzień z powodu śmierci mojej nieodżałowanej matki. Artykuł ten bardzo mnie zmartwił, gdyż zdawało mi się, że nasz kraj może się poszczycić tolerancyą poglądów, tymczasem spotkał mnie straszny zawód, przekonałem się, że jest przeciwnie,

Wykonałem tylko ostatnią wolę zmarłej, wypisując jej pogrzeb cywilny, co moge do dzisiaj nieznanemu naocznych świadków każdemu, kto tego będzie żądał, ogłosić zaś fakt dokonany, jako rzecz zwyczajną we Francji i we wszystkich cywilizowanych krajach kultu ziemskiej, nie przewidując, iż ścigając przez to na siebie obrażając uwagi Pańskiego pisma. Co zaś do manifestacji, to miłobym większe prawo posądząc o nią Szanowna Redakcy, która ogłasza nekrologi ze wszystkich ściegalił ceremoniał religijnej i nie widzi w tem żadnej chęliwosci, jeżeli tylko posiadają sankcye tradycy-

Upraszam Szanownego Państwa Redaktora o umieszczenie niniejszego listu w *Kurjerze warszawskim*, o co prosilibym osobliście, gdyby nie choroba nerwowa, która mnie zmusza do pozostania w łóżku.

Pozostaje z wysokim szacunkiem i poważaniem
P. Rudzki.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Broszurka bezpłatna



Gwarancja dwuletnia

„EXSICCATOR“

Zabezpiecza wszystko co z drzewa od gnicia, niszczy grzybek drzewny, osusza wilgoć w stado-
mach i zabezpiecza nowa. Dezynfekuje. Zastępuje olejną farbę we wszelkich kolorach i tanszy
tę o 50%.

Inżynier RITTER. Warszawa, Królewska Nr. 39

Poszukuje agentów.